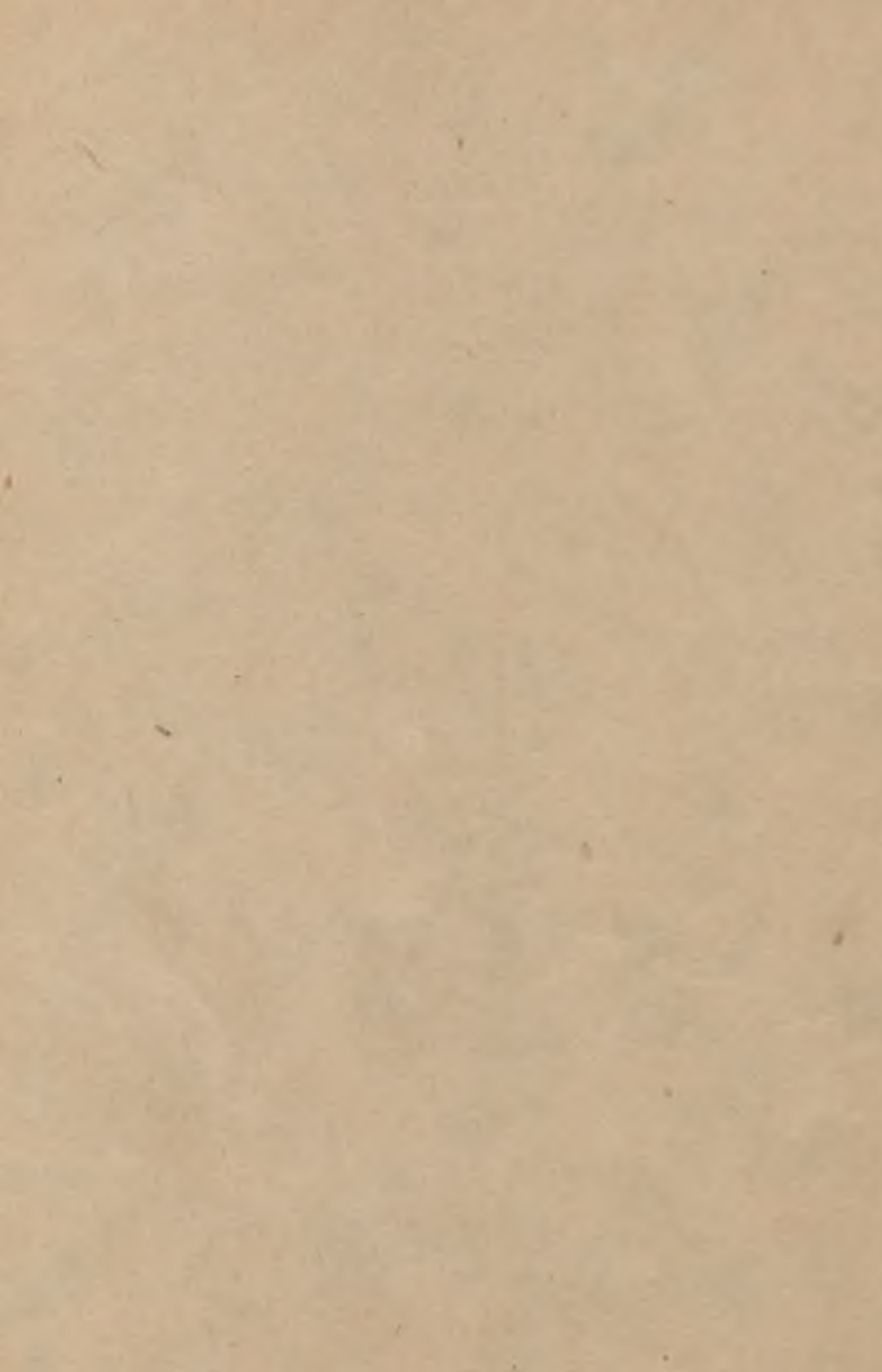




2566

II

ZASOP.



EUROPA

N^o 2

MIESIĘCZNIK

T
R
E
Ś
Ć
N
U
M
E
R
U

Paul Ollet: Osiedle Światowe
K. Irzykowski: Wieża Antibabel
Adam Pragier: Harriman w Polsce
St. Baczyński: Triumf zdrowego cynizmu
H. Zalszupin: Niepotrzebny romans
Roman Markuszewicz: „Na Zachodzie nic nowego“
Juljan Przybóś: Jedni — Zmęczeni

UWAGI:

Ankieta EUROPY: *K. Kobro-Strzemińska*, Theo van Doesburg
Artur Prędzki: Dwa oblicza: Pamflety A. Nowaczyńskiego
A. P.: „Kłos Panny“ *L. H. Morstina*
(n) Maksym Gorkij „Życie Klina Samgina“
(p) „Dodatek Nadzwyczajny“ *Br. Winawera*
Ettore Settanni: Maksym Bontempelli, czyli „Syn dwu Matek“
F. Baturewicz: Superrealiści
Książki

REDAKTOR I WYDAWCA:

STANISŁAW BACZYŃSKI

SEKRETARZ REDAKCJI:

H. ZAŁSZUPIN

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

WARSZAWA, ul. BAGATELA 10 m. 36

TELEFON 170-61, KONTO P. K. O. 19.600

TELEFON SEKRETARZA: 430-33

REDAKTOR PRZYJMUJE W SOBOTY OD GODZ. 15 — 16

Warunki prenumeraty:

ROCZNIE 20 zł. PÓLROCZNIE 10 zł.

Numer pojedynczy 2 zł.

W poprzednim (I) numerze „EUROPY“: *Stanisław Baczyński*: Odprężenie polityczne, *Karol Irzykowski*: Godność krytyki, *Jan N. Miller*: Od wolności do podporządkowania, *Artur Prędzki*: Romans nowoczesny, *Paul Dermée*: Literatura proletariacka, *Władysław Strzemiński*: Bilans modernizmu, *Stanisław Młodożeniec*: Południe, *Ettore Settanni*: Scena włoska. *Jan N. Miller*: O przedawnionych postaciach humoru, *H. Zalszupin*: Pieniądze a kultura, i in.

EUROPA

MIESIĘCZNIK

15. X. 29. — 15. XI. 29.

Nr. 2

PAUL OTLET

OSIEDLE ŚWIATOWE

Określmy z miejsca, o co chodzi. O narzędzie ogólne do skoordynowania ruchów i organizmów międzynarodowych. Syntetyczny, współczynny i atrakcyjny ośrodek pracy nad postępowaniem kultury i lepszą cywilizacją.

Tak określone Osiedle Światowe wydaje się nagłym zadaniem epoki. Epoka nasza bowiem jest bogata i biedna, inteligentna i bezmyślna, naznaczona pogardą godnym materializmem i wspaniałą ideowością zarazem; epoka nasza — to widowisko ogromnej fermentacji.

Oto rok 1914. Pełnia wakacyj. Przestępstwo polityczne w Serajewie. I jedno po drugim: wojna niszczycielska, przybycie dwu milionów amerykańskich żołnierzy. Bolszewizm, Niepodległość Polski, Liga Narodów, Międzynarodowe Biuro Pracy. Morderstwo w Serajewie, właściwie pozabawione głębszego znaczenia, odbija się echem — tu, aby zniszczyć — tam, aby wskrzesić — gdzieindziej, aby zbudować.

Po wojnie, opinia publiczna się rozdzieliła. Jedni dostrzegli w zdarzeniach z lat 1914 — 19 wypadki, fakty wyjątkowe, wspaniałe lub tragiczne, których serja jednak została zamknięta, by życie mogło toczyć się swym normalnym torem. Dla innych, przeciwnie, wydarzenia te stały się rewelacją nowego porządku rzeczy. Przeszedłszy kryzys bolesnego wzrostu, ludzkość stanęła wobec potrzeby przystosowania się do nowego życia, do życia światowego.

Życie to, składające się z rzeczy złożonych, współzależnych, w skrócie wyraża się liczbami: dwa miljardy ludzi, sześćdziesiąt państw zorganizowanych, może dwieście różnych narodowości, kolonialnych i innych, dwieście międzynarodowych trustów, czterysta stowarzyszeń międzynarodowych o celach światowych, Liga Narodów — wraz z oficjalnymi, podporządkowanymi jej organami, pięć wielkich wyznań religijnych.

Oto nasz ośrodek — i oto całości, które współistnieć muszą nie tylko w pokoju, jako organizacji pierwszego stopnia — ale i w postępie, na tym drugim stopniu, w którym ludzkość, zdaje się, bardziej jest zainteresowana.

Co się zaś tyczy chaosu świata, weźmy — z braku statystyki, któraby się wyrażała w jakimś współczynniku zamętu — poprostu: w zakresie spraw zdrowotnych — niemoc wobec wielkich plag fizycznych i słaby wysiłek w kierunku eugenizmu; w dziedzinie ekonomicznej — ludzkość zgłodniała lub niedość odżywiana — a gdzieindziej: palenie zbiorów, które miliony bezrobotnych mogłyby transportować do miejsc dotkniętych potrzebą. W dziedzinie społecznej — wychodźstwo przymusowe z przeszkodami emigracyjnymi, przeżyte, przestarzałe pojmowanie sprawy kolonij, najlepsze ziemie leżące odłogiem — w chwili, gdy gdzieindziej ogromnym wysiłkiem zmierza się do osuszenia mórz. W dziedzinie umysłowej zaś — narzędzia typu bibliotek, muzeów, uniwersytetów, stowarzyszeń, kongresów — legaty innych czasów, istniejące obok siebie, prawie że bez związku, bedne, niewystarczające — w czasie gdy dyskusje, oraz programy cząstkowe i minimalne, dają obraz niemocy wobec wielkich zadań.

Owszem, możnaby zacząć reformę od dołu — i od dziesięciu lat próbuje się sił w tym kierunku. Ileż w tem jednak opieszałości, ile indywidualnych działań — ile niepewności co do tego, czy osiągnięte już wyniki będzie można kontynuować! Murarze wznoszą mur, burzyciele idą tuż za nimi — i perspektywa ukończenia jest iluzoryczna.

Powstawanie trustów, cechujące czynność ekonomiczną, w dziedzinie zaś politycznej — powstawanie federacji; standaryzacja i normalizacja w dziedzinie techniki — i racjonalizacja w dziedzinie intelektualnej — oto potężne a subtelne prądy, ożywiające społeczeństwa i świat naszych myśli. Nie pomniejszając nic z tego, co musi być indywidualne, lokalne, regionalne, narodowe, lub kontynentalne, trzeba wreszcie wspólnymi siłami stworzyć w świecie CENTRUM, z którego mogłyby wyjść plany, dyrektywy i hasła — wspólnie obmyślane. Liga Narodów jest jednym elementem całości — jest tylko unją rządów — jak elementem jest Międzynarodowe Biuro Pracy, ograniczone do przedstawicielstwa syndykatów pracodawców i pracowników. W Osiedlu Światowym, które powstałoby w Genewie na obszarze 500 do 1000 hektarów, w parku międzynarodowym — a byłoby ono eksterytorjalne, wszystkie zaś jego przywłaszczenia fizyczne znajdowałyby się pod nadzorem federacyjnej fundacji — utworzonoby ośrodki: ekonomiczny (Bank Międzynarodowy i międzynarodowe trusty), higieny społecznej i fizycznej kultury (Czerwony Krzyż, organizacje zdrowotne, międzynarodowe stowarzyszenia sportowe), intelektualny (Mundaneum).

Polska powinna przystąpić do Osiedla Światowego. Jej dzieje ostatnie charakteryzują się występowaniem silnych indywidualności, które jej przywróciły wolność. Z kolei nastąpił drugi etap: budowy, przynajmniej w zasadniczych liniach. Przyszłe dziesięciolecie obciąży Polskę zadaniami jej wobec świata. Pożyczając od świata, powinna Polska czerpać z tego, co jest najlepsze w narodach — i znaleźć tyle sił, by przyswoić sobie tę użyteczną, płodną różnorodność — nie biorąc sobie za wzór żadnego poszczególnego narodu, którego stałaby się odbiciem, imitacją. Celem jej ma być wymiana — DO UT DES (daję abyś dał). Polska będzie pożyczala, ale będzie musiała sama dać, wypożyczyć. Przez sam fakt zaś, że się spóźniła, że w roku 1919 ten młody, choć dawny naród nie przyszedł do głównego — przeciwnie, musiał zbudować swój dom, gdyż przedzoboro-

wy nie odpowiadał potrzebom — Polska jest giętkim narzędziem, bardziej dostępnym dla nowej rzeczywistości, niż niejeden naród potężny i mający ciągłość tradycji, ale też niełatwo przyjmujący nowe wpływy z zewnątrz. Oby polskie siły umysłowe i kierownicze energicznie zwróciły się na zewnątrz i — nie tracąc nic z cech indywidualnych, z siły narodowej — wzniosły się do wysokości sił międzynarodowych! Oby Polska stała się czynnikiem aktywnym — DO UT DES — Osiedla Światowego! *)

K. IRZYKOWSKI

WIEŻA ANTIBABEL

Założenie Osiedla Światowego w Genewie z pewnością leży na linii rozwoju współczesnych stosunków i należy do tych tendencji dziejowych, które warto kultywować, — bo są jeszcze takie, które trzeba tłumić i tępić.

Międzynarodowość warta jest akuratnie tyle, ile jest warte wszelkie porozumienie, jasność, prawda. Gdy z pośród dwunastu zainteresowanych przynajmniej dziesięciu zasiądzie razem przy jednym stole debat, jest szansa, że przynajmniej ci wzajemnie będą sobie patrzyli na palce, i prawda automatycznie się wyłoni.

Ale międzynarodowość sama przez się nie jest żadnym panaceum. Oczywiście, — wszystkie sprawy, które nadają się do umiędzynarodowienia, niech będą umiędzynarodowione: pieniądze, praca, nauka, wychowanie, higiena, nawet sport. Wieżą Babel było zawsze rozproszenie, a nie skupienie wysiłków. Clearing, polegający na tem, że gdy w jednym miejscu czegoś brakuje, w innym nie powinno być tego czegoś za dużo, — jest możliwy i niezbędny.

Ale absolutny pożytek dla ludzkości nie jest jeszcze przez to wszystko zagwarantowany. Chodzi o to, co się umiędzynarodawia. Międzynarodowość jest obojętnem samo w sobie i obosiecznym narzędziem, które w pewnych mniej udoskonalonych formach istniało zawsze. Najczęściej jako consensus omnium stultorum. I wojna światowa była przecież także zjawiskiem międzynarodowym. A wojna z pewnością w ostatecznym wyniku tak samo zbliżyła narody jak sport. Czy przeto wojna ma zostać instytucją stałą?

Międzynarodowość skoncentrowana w Osiedlu Światowym, da pewną ilość nowych możliwości i ułatwień kulturalnych, które powinny być odpowiednio zapłodnione, wyzyskane.

*) Paul Otlet, autor niniejszego artykułu, głośny organizator międzynarodowej współpracy intelektualnej i założyciel „Mundaneum”, instytucji służącej tym celom, odwiedził w tych dniach Polskę, jako gość Rządu Polskiego. Redakcja „Europy” ma nadzieję, że przy najbliższej sposobności zapozna swych czytelników bliżej z ideą p. Otlet na tle obecnego życia międzynarodowego. Dla poruszenia zaś samej kwestji na gruncie polskim zamieszczamy artykuł K. Irzykowskiego, o temacie zbliżonym.

Otóż korektywem do poczynań Osiedla Światowego, a przynajmniej jednym z pierwszych jego przedsięwzięć, powinien być

KONGRES INTELEKTUALISTÓW,

w którym wzięliby udział uczeni i literaci całego świata. Wykluczeni byłiby jednak czynni politycy, jako ludzie, którzy mając codziennie do czynienia z rozstrzygnięciami praktycznymi, zatracili pietyzm i skrupuły wobec rzeczywistości i przesiąkli pewnego rodzaju cynizmem i powierzchownością.

Jeżeli się zwołuje najświatlejsze głowy globu, to chyba nie dla bagateli, nie dla żadnej specjalnej sprawy bezpośrednio praktycznej. Jeżeli uczestnicy obrad kongresu, filozofowie, ekonomiści, psychologowie, historycy, socjologowie, teologowie, powieściopisarze, publicyści i t. d., wyzbęda się wstydu i obaw przed łatwym ośmieszeniem się w oczach wykształconego motłochu, to obiorą sobie dla obrad temat jak najogólniejszy, „banalny“, zaczerpnięty z dziedziny utopji, a mianowicie dawać będą odpowiedzi na pytanie:

DLACZEGO JEST TAK ŹŁE, KIEDY WSZYSCY CHCĄ DOBRZE,

ze szczególnem uwzględnieniem:

- 1) sprawy powszechnego pokoju,
- 2) sprawy socjalnej.

Wprawdzie należy przypuszczać, że to pytanie jest właściwie nieustannym immanentnym motywem ich całej twórczości naukowej, publicystycznej, artystycznej, której poszczególne dzieła można sobie pomysleć jako etapy czy epizody pewnego całokształtu, którego celem wspólnym jest dobro całej ludzkości. Ludzie ci nie potrzebują sobie tego nawet za każdym razem uświadamiać; mechanizm kulturalny ich pracy jest już sam przez się tego rodzaju, że ją około tego celu grupuje i ten cel podsuwa lub narzuca. Ale w ogromie celów częściowych zatracca się cel główny, wielkie zdobycze taktyczne mącą ogólny plan strategiczny. Prawda, że i ów plan dopiero razem z niemi powoli narasta, uświadamia się, — zachodzi tu swoiste „hysteron proteron“.

Raz przecież można sobie pozwolić na sprawdzenie wspólne wyników dotychczasowych i na próbę, czy już dziś one w jakiś sposób skoordynować i zastosować się dadzą. Obrady kongresu będą wielką ankietą, w której wszystkie zdobycze umysłu ludzkiego przejdą pod jarzmem owego banalnego a dręczącego ludzkość pytania. Uczestnicy kongresu zgodzą się na takie zwężenie czy strywializowanie swej wiedzy o świecie i człowieku. Ale z drugiej strony ta wiedza będzie musiała złożyć egzamin i niewątpliwie dane zostaną odpowiedzi głębokie, pouczające, wszechstronne, trafiające w sedno rzeczy, pesymistyczne i optymistyczne, stare i nowe, a może niejednen z uczestników dopiero w zetknięciu z owem obcesowem pytaniem, ku własnemu zdziwieniu wydobędzie ze swej wiedzy wskazówki i rozjaśnienia, jakich się sam nie spodziewał. Trzeba, żeby wszyscy pokazali swoje rezerwy.

Na czas kongresu chroniczny stan przesilenia w społeczności ludzkiej uznaje się za ostry; kwestję socjalną i kwestję pokoju stawia się pod alarm, wieszka się je u wielkiego dzwonu; intelektualiści mają zachować się tak, jakby się zachowali astronomowie, fizycy, inżynierowie w chwili,

kiedyby dostrzeżono oznaki, że księżyc wyruszony ze swej orbity zaczyna spadać na ziemię.

Nawet gdyby kongres intelektualistów do „pozytywnych wyników“ nie doszedł, — a już sama jego natura wyklucza „wyniki pozytywne“ w znaczeniu zwykłym, — nawet jego wyniki „negatywne“ będą symptomatyczne, a sam fakt jego zebrania się będzie precedensem na przyszłość. Z pośród setek kongresów, które się corocznie odbywają, z pewnością nie będzie to kongres najbezużyteczniejszy.

Kongres wyłoni z siebie stałą instytucję, trybunał intelektualny ludzkości, który wykonywać będzie nieobowiązującą krytykę i kontrolę nad działalnością Ligi Narodów i innych międzynarodowych instytucji.

Projekt ten można załatwić w różne sposoby:

- 1) Albo go wyśmiać, uznać za niepotrzebny, ponieważ to wszystko, czego projekt chce, niby i tak się już dzieje na raty.
- 2) Albo wogóle go zignorować i zlekceważyć.
- 3) Powiedzieć, że trzeba odłożyć go na przyszłość o wiele dalszą.
- 4) Przyznać mu rację bytu, ale wykazywać niemożność zrealizowania.
- 5) Uznać jego potrzebę, ale postępować tak, aby ostatecznie nie przyszedł do skutku.
- 6) Poprzec go otwarcie i szczerze, rzucając na szalę cały zapas swej woli i wiedzy,

Autor projektu, stawiając go, nie szuka w tem osobistej sławy, — przeciwnie, ryzykuje śmieszność; chodzi mu o rzecz samą, i gotów jest później wskazać mężów i doktryny, które go inspirowały i których czuje się niejako wykonawcą.

OD REDAKCJI

Wszystkie pokrewne pisma Polski i Europy uprasza się o ogłoszenie powyższego projektu, a uczonych, publicystów i literatów wzywa się, aby zabierali głos w sprawie samej idei projektu i możliwości zrealizowania go.

AD
A
M PRAGIER

HARRIMAN W POLSCE

Okres powojenny spowodował wzmożenie się napięcia ekspansji kapitalistycznej i stworzył nanowo warunki, przypominające poniekąd miniony już okres akumulacji pierwotnej. Z jednej strony — spustoszona Europa i zniszczona Rosja, z drugiej — przesycona kapitałem ruchomym i pełna inicjatywy gospodarczej Ameryka — oto bieguny tego napięcia. Na wyjąłowych pobjawiskach Europy, młody kapitalizm Ameryki podejmuje próbę nowej ekspansji, tem łatwiejszą, że bez konkurencji. Tu właśnie zdaje się tkwić podobieństwo do okresu akumulacji pierwotnej,

gdzie również pierwsze skupienie kapitału dawało możność korzystania — obok zwykłych zysków — z wyjątkowej premji. Dziś premja ta dostaje się w ręce kapitału amerykańskiego przez sam fakt zubożenia Europy — a dodatkowo niejako przejawia się paradoks, że to przecie najmłodszy twór kapitalistyczny dokonywa tej nowej akumulacji „pierwotnej” na terenie kapitalizmu najstarszego. Możliwy tu też bez wielkiej przesady mówić jakgdyby o finansowej „kolonizacji” Europy przez Amerykę, czy nawet o zwierzchności feudalnej finansów amerykańskich nad europejskimi.

Penetracja obcego kapitału do kraju odbywa się, biorąc najogólniej, w trzech formach: w formie operacyj kredytowych, w formie zakupu pakietów akcji, oraz innego uzyskiwania wpływów na przedsiębiorstwa krajowe — i wreszcie: w formie nabywania koncesyj na samodzielne eksploatowanie różnych dziedzin gospodarstwa krajowego. Pierwsza z tych form — udzielanie kredytu państwu, samorządom oraz przedsiębiorstwom krajowym, nie bywa nawet nieraz „penetracją” w ścisłym znaczeniu tego słowa. Obcy kapitał poprzestaje na korzystnym oprocentowaniu i nie rości sobie pretensyj do aktywnej roli w kierownictwie życia gospodarczego kraju. Gospodarstwo zaś i finanse krajowe odnoszą z zasilenia obcym kapitałem znaczne korzyści, bez utraty własnej niezależności. Niestety, ta forma udziału obcego kapitału w życiu kraju jest tem trudniejsza do osiągnięcia, im własne siły gospodarcze są mniejsze. Kraje niezasobne, „nie budzące zaufania”, uzyskują kredyty dla przedsiębiorstw gospodarczych zazwyczaj tylko z gwarancją rządową, co uzależnia te przedsiębiorstwa od rządu. Rządy zaś takich krajów uzyskują kredyty tylko pod zastaw obiektów majątkowych i źródeł dochodowych, albo nawet wyznacza się dla takich krajów kuratorów, którzy w imieniu wierzycieli wykonywują nadzór nad gospodarstwem. W taki właśnie sposób dochód z polskiego monopolu tytoniowego, oraz dochód z ceł, służy na zabezpieczenie kredytów; w taki sposób nasz monopol zapałczany dostał się w obcą dzierżawę; w taki wreszcie sposób znalazł się w Polsce „doradca” amerykański, wywierający w interesie swych mocodawców wpływ na nasze finanse i gospodarstwo.

Druża forma penetracji obcego kapitału — wykupywanie przedsiębiorstw przemysłowych i „kontrola” instytucyj finansowych — przedstawia zawsze znaczne wątpliwości. W okresie powojennym, tylko kraje t. zw. neutralne zdołały się uchronić przed tym darem Danaów. W innych krajach powstał problem zachowania we własnym ręku poważniejszych przynajmniej działów gospodarstwa. W Polsce decydujący udział obcego kapitału w przemyśle, handlu i finansach nie jest niczem nowem i nie jest też uważany za problem „powojenny”. Ale i w Polsce zwrócono uwagę na szczególnie jaskrawą formę opanowania produkcji i zbytu cynku... przez Harrimana.

Trzecia wreszcie forma tej obcej penetracji, forma najwyraźniej „kolonizatorska” czy „feudalna”, to uzyskiwanie koncesyj eksploatacyjnych przez kapitał obcy. W tym wypadku kapitał obcy nie służy już gospodarstwu krajowemu i nie współdziała z niem, jak w formach poprzednich, lecz działa całkiem samodzielnie i nieograniczenie. Tutaj niema już inicjatywy gospodarczej krajowej. Bogactwo kraju staje się tylko podłożem dla

ekspansji kapitału obcego. Dotąd, w Europie, tylko Rosja sowiecka wdziała się zmuszona przyjąć w tej formie, w szerszym zakresie, obcą pomoc. Niedawno atoli zdarzyło mi się czytać w wywiadzie profesora Krzyżanowskiego, którego zdanie cenię w wielu sprawach nie mających blizkiego związku z praktyczną polityką gospodarczą, że spodziewa się on znacznych korzyści dla Polski z tej formy penetracji obcego kapitału.

Opinia publiczna w Polsce została niedawno zaniepokojona zapowiedzią przyznania firmie amerykańskiej W. A. Harriman and Company Inc. koncesji na elektryfikację znacznej części kraju. Zaniepokojenie to wyraziło się z rzadko spotykaną zgodnością w całej niezależnej od rządu prasie — a nawet w niektórych pismach rządowych, nadto zaś — podczas wszystkich rozpraw wojewódzkich, oraz w oświadczeniach niektórych organizacji gospodarczych. Ten objaw czujności na niebezpieczeństwo grożące w dziedzinie gospodarczej poczytuję za zjawisko niewątpliwie dodatnie, zaniepokojenie zaś za całkiem uzasadnione.

Snać i samemu rządowi wydało się ono dość poważne, gdyż Minister Robót Publicznych p. Moraczewski ogłosił w „Kurjerze Porannym” wywiad, w którym podnosił korzyści tej koncesji — i usiłował rozproszyć obawy. W szczególności podkreślał p. Moraczewski, że uprawnienie, dane Harrimanowi, „oparte będzie na zwykłym formularzu, obecnie od końca r. 1927 używanym przez M. R. P. przy udzielaniu uprawnień elektrycznych”, że „rozmiar i sposób elektryfikacji będzie ściśle odpowiadał programowi, opracowanemu w M. R. P.” — i wreszcie, że taryfy za prąd będą niższe od taryf obowiązujących dotąd.

Nasuwa mi się tu uwaga, że Minister Robót Publicznych uważa zapewne wywiad prasowy za formę właściwą do ogłaszania wiadomości, pozostających w luźnym tylko związku z istotnym stanem rzeczy. Wystarczy przyrzeć się głównym postanowieniom projektowanej umowy, aby nabrać tego przeświadczenia.

Wyjątkowość koncesji Harrimana polega już na samej tej okoliczności, że koncesjonariusz ten — jedyny w Polsce — ma otrzymać uprawnienie wytwarzania i rozdzielania energii elektrycznej na obszarze 6 województw, na których znajdują się wszystkie złoża węglowe. Województwa te stanowią około 22% obszaru całego Państwa. Życie ich gospodarcze jest najintensywniej rozwinięte, ludność zaś stanowi około 34% ludności całego Państwa. Coprawda, istniejące dotąd na tym obszarze koncesje pozostać mają nadal, ale już sam fakt zatamowania ich dalszego rozwoju terytorjalnego musi w niedalekim czasie uzależnić istniejące elektrownie od Harrimana — jemu zaś zapewnić bezsporne stanowisko szafarza energii elektrycznej na całym obszarze jego koncesji. Okoliczność, że umowę z Harrimanem zamierza p. Moraczewski spisać na takim samym urzędowym „druczku”, jakich używa dla innych koncesyj, nic a nic w tem nie zmienia.

Ale i poszczególne warunki tego uprawnienia nie są wcale zwykłe. Termin koncesji wynosić ma lat 60; na tak długie terminy nie nadano innych koncesyj ciepłych. Usprawiedliwia się ten długi wyjątkowo termin wielkością obszaru, objętego przez Harrimana; w istocie wynika on jednak

ze szczupłości kapitału, który Harriman zamierza inwestować — i z wolnego tempa inwestycji. Okres amortyzacji określono dla Harrimana na lat 60 dla urządzeń wodno-elektrycznych i na 30 lat dla innych urządzeń. Zazwyczaj określa się okres amortyzacji dla elektrowni ciepłych na lat 15 — 18, dla wodnych — na lat 30 najwyżej. Stwarza to dla Harrimana oczywisty przywilej, ale obciąża Państwo na wypadek przedterminowego wykupu. W razie uchybienia warunkom koncesji, może ją Minister Robót Publicznych zazwyczaj koncesjonariuszowi odebrać. Harriman i w tym względzie traktowany jest wyjątkowo, może bowiem być pozbawiony koncesji tylko w drodze sądowej — a nawet w takim wypadku może nadal wykonywać swoje czynności, tylko że bez prawa wyłączności. Nadto, w kwestjach technicznych, taryfowych, oszacowania majątku i określenia ceny wykupu, droga sądowa rozstrzygnięcia sporu jest wyraźnie wyłączona; spory takie mają być rozstrzygane przez komisję rozjemczą, w której rząd i Harriman mają po jednym przedstawicielu.

Celem eksploatacji Zakładu Elektrycznego ma Harriman powołać do życia „Polską Spółkę” i przenieść na nią swoją koncesję w ciągu roku od jej uzyskania. Okoliczności dotyczące tej „Polskiej Spółki” — a w szczególności wysokość jej kapitału, oraz pochodzenie tego kapitału — nie są dziś wcale jeszcze znane. Wynika stąd, że „Harriman” jest właściwie znakiem algebraicznym, za którym ukrywa się... niewiadomo co. Wnosić można wszelako z dotychczasowych stosunków Harrimana, łączących go z niektórymi koncernami niemieckimi, że w owej „Polskiej Spółce” będą — obok amerykańskich — reprezentowane wpływy niemieckie. I inne zresztą postanowienia otwierają drogę do zawładnięcia koncesją Harrimana przez czynniki zgoła nieznanne, poza wszelkim wpływem rządu polskiego. Oto Harriman ma prawo obciążać majątek swego przedsiębiorstwa do 75% niezamortyzowanej wartości, bez zezwolenia M. R. P. Postanowienie to — nie istniejące w innych koncesjach — daje możliwość uzyskania decydującego wpływu na koncesję Harrimana, a przez nią na gospodarstwo polskie, każdej grupie kapitalistów, z którąby Harrimanowi spodobalo się kiedyś związać — bez zrzeczenia się dobrodziejstw, płynących w wyjątkowej koncesji. Wreszcie — rząd zgodził się na przekazanie koncesji, udzielonej Harrimanowi, każdemu nabywcy Zakładów Elektrycznych w drodze sprzedaży przymusowej z wyroku sądowego. Wystarczy przeto umiejętne przygotowanie upadłości w porozumieniu z domniemanym nowonabywcą, aby koncesja Harrimana przeszła w inne ręce, całkiem niezależnie od wpływu rządu polskiego.

A cóż wzamian za te zgoła niezwykle przywileje daje ze swej strony Harriman? Oto ma on zbudować w ciągu pierwszego pięciolecia elektrownię wodną na Dunajcu o mocy conajmniej 40.000 HP, elektrownię ciepłą w Zagłębiu Krakowskim lub Dąbrowskim, o wydajności nie mniejszej, niż 30.000 kw., ma połączyć ze sobą te elektrownie przewodami o napięciu conajmniej 100.000 V. — i ma urządzić sieci rozdzielcze w miastach o ludności nie mniejszej, niż 5.000 mieszkańców. W następnym pięcioleciu — ma rozszerzyć elektrownię wodną do mocy 90.000 HP., oraz odpowiednio rozszerzyć elektrownię ciepłą, doprowadzić przewody o wysokim napięciu do długości 750 km., oraz zelektryfikować miasta o ludności conajmniej 3.000 mieszkańców. Podczas pozostałych 50 lat trwania koncesji — Har-

riman ma swoje urządzenia odpowiednio rozszerzać. Dodać trzeba, że tylko do zbudowania elektrowni wodnej jest Harriman bezwzględnie zobowiązany. Zamiast zbudowania elektrowni ciepłej zaś może wyzyskać rezerwy już istniejących elektrowni, przeprowadzając odpowiednie przewody zbiorcze. Rzecz znamienna, że nie określono nawet wielkości tych rezerw, których wyzyskanie zwalnia Harrimana od budowy nowej elektrowni ciepłej.

Może zresztą Harriman nabywać także energję elektryczną z jakichkolwiek innych, już istniejących, elektrowni — bądź na obszarze swojej koncesji, bądź na granicy tego obszaru. Ze zaś istniejące elektrownie nie będą miały, od chwili udzielenia koncesji Harrimanowi, możliwości terytorjalnego rozszerzenia swojej działalności, stanie się Harriman jedynym ich odbiorcą, — i wykorzystywać będzie ten swój monopol nieomal, że bez wkładu nowego kapitału. Słusznie zwrócono też uwagę, że tym sposobem elektrownia w Chorzowie, należąca do niemieckiego koncernu A. E. G. i znajdująca się na samej granicy Państwa, będzie mogła rozszerzyć swoją działalność na obszar koncesji Harrimana, co nasuwa znaczne wątpliwości z punktu widzenia obrony Państwa.

Rzeczywisty rozmiar inwestycji Harrimana określają jednak najlepiej postanowienia, dotyczące wkładów pieniężnych, których Harriman ma dokonać. Otóż, wkłady te mają wynosić w pierwszym pięcioleciu — nie więcej niż 15 milionów dolarów, w drugim pięcioleciu — nie więcej niż 10 milionów dolarów, w ciągu zaś pozostałych 50 lat — nie więcej niż 1.5 miliona dolarów rocznie — czyli razem 100 milionów dolarów. Wyraźnie zastrzeżono przytem, że w razie, gdyby inwestycje w jakimś okresie były wyższe, niż przewidziano, nadwyżka ta zostanie zaliczona na poczet inwestycji za okres następny. Podnieść trzeba tedy, że sumy powyższe stanowią maksymalną granicę inwestycji Harrimana, granica minimalna zaś wogóle nie jest określona. O ile Harriman szybko zdołałby zorganizować wykorzystanie rezerw istniejących elektrowni, inwestycja kapitału mogłaby być nawet znacznie niższa od przewidzianej granicy maksymalnej. Wreszcie trzeba stwierdzić, że suma 100 milionów dolarów w żadnym wypadku nie jest w całości inwestycją kapitału w ścisłym znaczeniu. Po upływie bowiem pierwszego dziesięciolecia, wkłady coroczne mają wynosić conajwyżej 1.5 miliona dolarów — to znaczy: będą mogły być pokrywane z zysków bieżących. Istotna inwestycja — i to w ciągu 10 lat — stanowić ma conajwyżej 25 milionów dolarów, a w rzeczywistości może być też o wiele mniejsza.

Oto jest cena, za którą rząd chce dać monopol władania energją elektryczną na najważniejszych obszarach Polski Harrimanowi — a raczej tym, którzy się za tym algebraicznym znakiem kryją!

Nawiasowo wspomnę, że określanie wysokości opłat za korzystanie z energii elektrycznej na okres lat 60 jest zjawiskiem zgoła bezprzykładnem. Stawki maksymalne opłat mają coprawda ulegać zmianom w miarę zmiany cen węgla i robocizny, ale nikt nie może dziś przecież przewidzieć, jakie inne jeszcze czynniki, w tak długim okresie, wpływać mogą na koszt własnej produkcji.

W sprawie tej Rząd nie będzie miał głosu decydującego, gdyż rewizja

sposobu określania zmienności opłat będzie mogła być dokonywana tylko w porozumieniu z Harrimanem lub w drodze rozjemstwa.

Jednomyślnie niemal potępiono zamiar udzielenia Harrimanowi koncesji, na warunkach, które w głównych zarysach przytoczyłem powyżej. Czy ma to znaczyć, że trzeba zarzucić wszelką myśl o planowej elektryfikacji kraju i pozostawić sprawę w dotychczasowym stanie bezładu i przypadkowości? Bynajmniej. Rozumiem dobrze, że nie tylko Harriman, ale każdy kto się pokusić zechce o elektryfikację tak wielkich obszarów, będzie musiał zwalczyć opór konkurencji: istniejących już elektrowni oraz przemysłu maszynowo - elektrotechnicznego. Stąd też nie wszystkie argumenty przytaczane przeciw Harrimanowi są bezinteresowne i nie wszystkie przekonywujące. To jednak, co koncesję Harrimana czyni niebezpieczną — monopol dyspozycji energii elektrycznej na wielkim obszarze, przewaga nad istniejącymi elektrowniami, mały wkład kapitału, długi okres inwestycji — to traci swoje ujemne cechy, gdy się pomyśli o wykonaniu na tych samych co Harriman zasadach planu elektryfikacji — bez Harrimana. Nie jest to wcale niepodobieństwem nawet w naszych warunkach. Już dziś przecie inwestycje elektryfikacyjne w Polsce wynoszą co roku więcej, niż zamierza inwestować Harriman w pierwszym pięcioleciu wykonywania swej koncesji.

Należałoby przystąpić poprostu do zorganizowania spółki akcyjnej przy udziale Państwa, samorządów oraz zainteresowanych sfer gospodarczych, z kapitałem choćby nieznacznym, lecz z zapewnioną możliwością corocznych inwestycji, w wysokości conajmniej takiej, jaką przewiduje koncesja Harrimana. Ostatecznie sumę 22¼ milj. złotych można pomieścić w budżecie Państwa i związków komunalnych. Gdyby p. Moraczewski miał pod tym względem wątpliwości, uspokoi go niewątpliwie Minister Spraw Wojskowych, marsz. Piłsudski, gdy mu powie, że sumka ta wynosi nie więcej, niż 9 dni budżetu wojskowego... Można zresztą bez skrupułu przyjąć i pomoc obcego kapitału, lecz tylko w formie kredytu (choćby towarowego), i kredyt taki znalazłby się niewątpliwie dla dopełnienia własnego wysiłku.

Wygląda to doprawdy niewiarygodnie, że p. Moraczewski, który tak niedawno jeszcze próbował stworzyć coś w rodzaju teorii etatyzmu, w praktyce pragnie oddać monopol energii elektrycznej w ręce prywatnego przedsiębiorcy, którego plany polityczno - gospodarcze są mu zgoła nieznane i mogą być wprost sprzeczne z zamiarami rządu. Wygląda niewiarygodnie, że niedawny wyznawca teorii samostarczalności, który w imię tej zasady sprzeciwiał się nawet zaciągnięciu pożyczki zagranicznej, pragnie dziś oddać ten monopol kapitałowi obcemu, którego pochodzenie nie jest mu zgoła znane. A jakże wygląda istotna siła tego „silnego rządu”, który nie umie uchronić gospodarstwa polskiego od zuchwałego zamachu na jego niezależność ze strony najgroźniejszych konkurentów?

TRIUMF ZDROWEGO CYNIZMU

STANISŁAW
BACZYŃSKI

1.

Nauka ogranicza się do faktu, opisu i wyjaśniania przyczyn, a w końcu do formułowania praw rządzących zjawiskami, — czyli szuka najbardziej stałych i niezmiennych podstaw poznania świata. Im formuła jest bardziej niewzruszona, tem treść jej daje przesłankę do ściślejszych wniosków i dalszych metodycznych założeń. Celem nauki jest poznanie prawdy (w znaczeniu wyjaśniania przyczyn i praw rządzących faktami), ocena jednak zjawisk i rezultatów pracy ludzkiej ze stanowiska dynamicznego, t. j. woli, wrażliwości zmysłów oraz wyobraźni, należy do KRYTYKI. Nauka odpowiada na pytanie: jak jest i dlaczego? — krytyka zaś: jaką coś ma wartość? Krytyka więc (nawet naukowa, epistemologiczna), jest wartościowaniem, oceną zjawisk w ich stosunku do człowieka. Jako taka, różni się od nauki w celu i metodach, gdyż poza zmysłowym poznaniem i analizą rozumową, opiera się na różnorodnej, splecionej treści emocjonalnych, nerwowych i uczuciowych przeżyć człowieka. Nauka dąży do idealnego obiektywizmu — krytyka, już w założeniu swoim, jest SUBJEKTYWNA i zmierza do doskonałego SUBJEKTYWIZMU. Granice między faktem a wartością wypełniłyby się wówczas dopiero, gdyby uznano RÓWNOWARTOŚĆ POZNANIA i OCENY. Łączona z pojęciem subiektywizmu niechęć przestałaby wtedy straszyć przeczulonych zwolenników obiektywnej prawdy, usiłujących wtłoczyć w ramy krytyki, zapożyczone od nauk ścisłych metody.

Metody krytyki są tak różnorodne i dynamiczne, jak samo życie, co stanowi właśnie jej zasadniczą wartość, gdyż właściwością jej jest MAKSYMALNY SUBJEKTYWIZM. Maksymalny jednak tak w natężeniu, jak w kompetencjach, skutkiem czego odpowiedzialność krytyka i jego wysiłek jest stokroć większy, niż odpowiedzialność i wysiłek uczonego. Uczony może się mylić, krytykowi omyłek nie wybaczymy. SĄD NAUKOWY, PRAWDZIWY LUB FAŁSZYWY MOŻE BYĆ NAPRAWIONY; SĄD KRYTYCZNY, TRAFIAJĄCY W ŻYWE CIAŁO CZŁOWIEKA I SPOŁECZEŃSTWA, RAZ WYGŁOSZONY, MOŻE WYWOŁAĆ NIEOBLICZALNE SKUTKI, gdyż sugestionuje umysły środowiska, zaraża je i posiada swe indywidualne życie, wzrost i konsekwencje; dlatego żądamy od krytyki, poza wiedzą i wrażliwością, jeszcze — SUMIENIA.

Sprawa sumienia, o której poważnie pierwszy bodaj pisał Holzapfel w „Panideale”, a później narzucał ją literaturze Stanisław Brzozowski, jest tylko zagadnieniem etyki krytyka i jego poczucia odpowiedzialności za wygłaszane sądy; niema ona nic wspólnego z obiektywizmem, bezstronnością i t. p., gdyż żądając od krytyka maksymalnego subiektywizmu, nie możemy mu narzucać formuł postępowania, ani szablonowych zasad etycznych. Jest on indywidualnością, mającą prawo sądu

w imię swych właściwości psychicznych, indywidualnością niezależną od reguł — stwarzającą natomiast reguły. Etyka jego) zależy całkowicie od wrażliwości zmysłów, wyobraźni i smaku. Nieetyczny — zasadniczo — byłby więc krytyk, który przystępuje do pracy bez pełnych kompetencji i zdolności emocjonalnych do odczuwania sztuki, reagowania na jej przejawy. Nie wystarczy bowiem do prawa sądu tylko umiejętność logicznego myślenia, intelektualizm — trzeba mieć wrażliwość. **KRYTYK BEZ WRAŻLIWOŚCI JEST KRYTYKIEM BEZ SUMIENIA.**

Mimo pozorów paradoksalności, ów subiektywizm indywidualny stanowi społeczną wartość krytyki, jej twórczy przejaw. Krytyk bezstronny, „obiektywny”, ideał autorów, byłby istotą nawskroś bezbarwną, pozbawioną jakiegokolwiek emocjonalnej dynamiki, automatem do wytwarzania sądów nie podlegałby sam ocenie, jak wyrocznia. Prowadziłoby to do absurdu.

Bogactwo indywidualne krytyki jest bogactwem literatury. Dzięki niemu możliwy jest ów wielokierunkowy i wielopostaciowy rozwój myśli krytycznej od 18 w. począwszy, który stworzył styl klasyczny, romantyzm, pozytywizm, symbolizm, secesję i dzisiejszy modernizm, przy całym szeregu metod, zależnych od upodobań, prądów i umysłowości epoki. Metod zaś tych, notowanych w dziejach literatury, istnieje tyle prawie, ile wybitnych indywidualności krytycznych. Była, że nie sięgnę dalej, krytyka opisowa, portretów (Sainte-Beuve, L. Siemieński...), porównawcza, moralizatorska i dogmatyczna (D. Nisard), apostołująca (G. Planche, S. de Sacy), filozoficzna (Schelling, Mochnacki), pozytywistyczno-naukowa (Taine, Chmielowski), sceptyczna (Renan, Sarcey), psychologiczna (Bourget, Lemaitre), rewolucjonistyczna, obiektywna (Brunetière), socjologiczna (Michajłowski, Brzozowski), i t. d. i t. d. — obok niezliczonych odmian krytyki dziennikarskiej. Wybór metod zależał tu od **CHARAKTERU UMYSŁOWOŚCI KRYTYKA, TYPU JEGO WRAŻLIWOŚCI ZMYSŁOWEJ, TEMPERAMENTU i ETYKI.**

Zasadniczo zagadnienia związane z wyborem metody krytycznej, dałyby się sprowadzić do dwu pytań, stanowiących odwieczny przedmiot sporu w literaturze. Pierwsze: czy krytyka ma być wyjaśniająca, t. j. w koncepcjach swoich ściśle złączona z dziełem i tylko wtedy wartościowa, gdy do dzieła przylega? — i drugie: czy krytyka ma być niezależna, twórcza (?), czyli traktująca dzieło wyłącznie, jako podłoże, materiał, coś w rodzaju odskoczni dla swych własnych koncepcyj?

Ambicje twórcze krytyków z trudnością godzą się na odpowiedź twierdzącą w pierwszym wypadku, w drugim zaś często tracą grunt pod nogami, oddalają się od czysto użytkowych, orientacyjnych potrzeb społeczeństwa. Krytyka wyjaśniająca często znów przechodzi w szablon, stwarza martwe formuły — twórcza zaś przez pozory twórczości pasywnieżyje na dziełach sztuki i wyradza się w mętny liryzm impresjonistyczny lub metafizykę. W jednym i drugim wypadku celowość krytyki zaciemniają przerosty, traci ona swój sens, w jednym i drugim zwyrodnieniu towarzyszy bezład metodyczny lub skostnienie. Wady nie decydują jednak o racji bytu lub niebytu jakiegoś zjawiska. To też dowodzenia i spory między tymi rodzajami krytyki raczej wskazują na konieczność kompromisu, niż usprawiedliwiają jednostronne ataki. Jeden i drugi ro-

dziej mógłby istnieć, dla dobra społecznego. Krytyka bowiem nie jest sztuką dla sztuki, lecz instytucją, a więc wbrew przesadnym ambicjom, posiada charakter użytkowy, poza swym celem wewnętrznym ma zadania wewnętrzne. Z tej złożoności celów wynika też jej zasada metodyczna. Musi być wyjaśniająca, konkretna, wyrastająca z faktów, ale musi też być twórcza, t. zn. wznosząca do tych faktów ów umysłowy i uczuciowy ferment, który stawia sztuce nowe zadania, problemy, prowadzi do nowych wartości i stanowi współczynnik woli artystycznej. O krytyce niezależnej, oddanej tylko jakimś swoim, abstrakcyjnym prawom, takiej, o jakiej marzyli impresjoniści, nie może być mowy, gdyż stanowiłaby ona sprzeczność samą w sobie. Celem krytyki nie jest samodzielny proces twórczy, ani psychologia autora, ale stosunek dzieła do środowiska.

Za wiele pisano i mówiono do tej pory o stosunku krytyka do autora, za mało O STOSUNKU KRYTYKA DO DZIEŁA. Skutkiem tego krytyka nabrała cech personalnych, przywiązywała się do osób, indywidualizowała zjawiska artystyczne, zaniedbując swe istotne zadania: zwłaszcza krytyka wyjaśniająca, zbliżona do środowiska przez swój wybitnie użytkowy charakter. W ten sposób sens sztuki sprowadzał się do mglistej, sporadycznej rewelacji czysto osobistych spraw duchowych, tracił swój organiczny związek z całokształtem życia zbiorowego, a praca artysty i jego społeczne stanowisko leżały poza obrębem socjologicznych zagadnień. W miejsce tego sztuka stała się terenem czysto osobowej eksploatacji jednostki nietyle zdolnej, co sprytnej, umiejącej wyzyskać handlowe zalety swej produkcji, schlebającej poziomowi mas, lecz nie podnoszącej tych mas do wyżyn kulturalnych swej epoki. Najlepszą ilustracją tego jest rynek artystyczny czasów obecnych. (Interesującym przyczynkiem są tu książki Baslera i M. Hiver). Snobistyczny kult jednostek, szerzony przez krytykę na wszystkich polach, uczynił z artysty albo przedmiot religijnej czci, albo zwycięskiego przedsiębiorcę, który umie zareklamować swój towar. W takich warunkach krytyka, licząca się ze swymi zadaniami estetycznymi, krytyka wychowawcza, reprezentująca najwyższy poziom kultury swej epoki, może znaleźć tylko ratunek w sankcji społecznej, która uzna twórczość artystyczną za równoważną z innymi dziedzinami pracy, a dorastanie do jej poziomu, za powszechnie obowiązujący cel wychowawczy. Czyli inaczej, krytyka zyska określone stanowisko, zerwie z siebie patetyczny strój maga - znachora i stanie się lekarzem, operującym nowoczesną techniką i metodami. Człowiek bowiem dzisiejszy patrzy na świat pod kątem ostrym, z pewną dozą zdrowego cynizmu i — czas wreszcie przestać oszukiwać świat i siebie idealistycznym kłamstwem minionego stulecia. Podobnie, jak w krótkowłosej, wygimnastykowanej kobiecie pracującej, przestaliśmy już widzieć anioła, bóstwo etc., tak w sztuce nie dostrzegamy tej mistycznej aureoli, jaką otoczył ją snobizm protektorów i daremna tęsknota nędzarzy.

2.

KOMPLEMENTY, CZY OBOWIĄZEK

Pospolicie panuje przekonanie, że zasadniczo krytyka pełni funkcje dydaktyczne w stosunku do autorów. Najmocniej zaś są przekonani

o tem sami krytycy, najbardziej zastrzegają się przed tem autorzy. A ponieważ często nie widzą świata poza sobą, więc odmawiając krytyce wpływu na swą twórczość, odmawiają jej racji bytu. Każdy autor, mimo zapewnień o swej skromności, jest z natury nieskromny, wrażliwy na punkcie swego dzieła i chętny do uprzedzeń wobec krytyka nawet za najbardziej rzeczowe uwagi. Im krytyk jest uczciwszy, tem więcej posiada wrogów wśród autorów. Wiedzą o tem doskonale wszyscy „twórcy”. **AUTOR JEST NAJBARDZIEJ NIEWYBREDNĄ PUBLICZNOŚCIĄ KRYTYKA**; onto żąda rzeczy najpłytszej, gołosłownej: **POCHWAŁY**; jęgoty przeraża każdy błysk lancetu, każda próba analizy, on jest przyczyną często degeneracji krytyków swego dzieła. Często bowiem, ulegając sugestji powszechnej, wywołanej przez reklamę autorską, krytyk zatracą miarę sądu, „sprzyja” autorowi. I faktem jest, że właśnie autorzy plewią zdrowe kiełki krytyki przez wrogi stosunek do niej lub lekceważenie publiczne. W skargach ich na „brak krytyki” przebija wyraźnie niechęć do krytyki, która istnieje, oraz pragnienie (złudne) krytyki **NIFISTNIEJĄCEJ**, która dla nich **NIGDYBY ISTNIEĆ NIE MOGŁA**.

Trudno spotkać autora, zadowolonego z krytyka. Wniosek z tego, że o dydaktycznym znaczeniu krytyki dla autora można mówić tylko wyjątkowo. Nie złagodzi tego nawet wiara, że ten czy ów autor posiada samokrytycyzm i wytyka sam swe błędy, gdyż, poza tą chętnością z błędów, kryje się obłudnie drażliwa ambicja matki, która bijąc własne dziecko: nikomu go dotknąć nie pozwoli. Perfidja autorów wobec krytyki jest tedy nieograniczoną komplikacją intryg wewnętrznych, podstępów, a wreszcie otwartą walką o **BEZKRYTYCYZM** w stosunku do siebie. Nic dziwnego. Są to tylko naturalne reakcje każdego twórcy. Ale nie mówmy wobec tego o wychowaniu artysty przez krytyka. Nie chcemy wierzyć, że nawet najbardziej rzeczowa krytyka przynosi autorowi w jego własnym mniemaniu korzyść. Autor tego nie pojmie — krytyk nie uwierzy.

Autor wymaga od krytyka takiej kurtuazji i subtelności, że zanika wobec tego wszelki sens krytyki; właściwe pole do niezależnej oceny otwierałoby się dopiero po śmierci autora. Nie da się to pogodzić z drugim, ważniejszym zadaniem krytyki w stosunku do odbiorców sztuki: czytelnika i widza. Obydwo dogodzić trudno. To, co potrzebne jest konsumentowi, rani często wytwórcę, naodwrot zaś — schlebianie oczywistym wadom zraza i wywołuje nieufność w czytelniku, wskutek zmian wyrażnej reklamy. Albowiem, mówiąc otwarcie: autor dzisiejszy pragnie reklamy i na niej zasada swe bezpośrednio zainteresowanie krytyką. Nie jest to jednak w interesie konsumentów, gdyż przez reklamę zaciemnia się często istotna wartość i potęguje możliwość nadużycia. Toteż, pozostawiając na uboczu sprawę reklamy dziennikarskiej, należy rozstrzygnąć: czy krytyka ma służyć propagandzie nazwisk i dzieł, czy też zadaniem jej jest poszukiwanie wartości? Jeżeli przyjmujemy to ostatnie, straci wszelki sens krytyka dla autorów, pozostanie krytyka dla odbiorców.

Wybyszy się zależności od kaprysów autora, krytyka podlega kaprysom czytelnika. Bo i czytelnik ma swe sympatje, drażliwe punkty, nastawienia, a wreszcie poziom kultury, dający mu z kolei prawo do sążenia krytyki. Stanowisko to jest jednak o wiele łatwiejsze do przewy-

ciężenia, gdyż odbiorcy brak czysto osobistych przeczuleń na punkcie przedmiotu, nie jest on niemal identyczny z tym przedmiotem, jak autor, słowem, posiada wobec dzieła pewną perspektywę, która stanowi nieodzowny warunek do wydania lub przyjęcia sądu.

Między sądem czytelnika, a krytyką, musi zachodzić pewna różnica, w której nadwyżka jest po stronie krytyki, inaczej racja bytu krytyki byłaby mocno wątpliwa. Czytelnikowi może odpowiadać coś, czego krytyk nie uzna, lub czego nie bierze pod uwagę, ze względu na niski poziom artyzmu, banalność i t. d. Odwrotnie, krytyk może uznawać rzeczy, niedostępne dla przeciętnego odbiorcy, dzieła, przerastające epokę. Porozumienie wydaje się tu niemożliwe, chyba na gruncie przeciętności z jednej i drugiej strony. W każdym razie pozostawałaby droga autorytetu i sugestji, gdyż mimo wszelkie pozory, krytyka stanowi dla przeciętnego odbiorcy sztuki swego rodzaju wyrocznie, której ulega on pod naciskiem opinii mody, zwyczaju. Literatura gwałci tu życie, wychowuje, urabia sama swe stanowisko autorytatywne. Czyż bowiem Norwid a nawet Słowacki byłiby czytani przez ogół, gdyby nie narzucona opinia krytyki, która wywołała zainteresowanie nimi i urobiła odpowiednie przyjęcie ich dziełom?

Krytyka trafia do czytelnika nie tylko przez sprawiedliwe sądy, lecz przede wszystkim przez opinię i pod tym względem zbliża się do publicystyki. Zachęca ona, uczy patrzeć i czytać, a pierwszym zadaniem jej jest skłonienie odbiorcy do konsumpcji (reklama), dalej: uprzyśpieszenie wartości (wyjaśnienie), a wreszcie określenie tych wartości na podłożu epoki (ocena). W ten sposób krytyka dawałaby orientację estetyczną, stwarzałaby napięcie dynamiczne wobec sztuki w społeczeństwie, budziłaby w niem INTERES ESTETYCZNY, wciągałaby je w sferę oddziaływania sztuki.

Cywilizacja materialna dochodzi do uspołecznienia swych rezultatów w podobny ale skrócony sposób, ale kultura wymaga jeszcze krytyki. I tu i tam jednak spotykamy się z pewnym oporem. Komunikacja aeroplanowa, mimo szerokiej popularności, nie jest, ze względu na ryzyko, powszechnym środkiem łączności. Uświadczenie nie zrealizowało się jeszcze, nie przezwyciężyło oporu, który zniknie wskutek wyraźnych potrzeb szybszej lokomocji. Podobnie ze sztuką. Mimo wielu tysięcy lat istnienia jest ona mniej popularna niż aeroplan, ale stanie się własnością powszechną, gdy zacznie ODPOWIADAĆ OKREŚLONYM POTRZEBOM, wejdzie w zakres bezpośrednich interesów człowieka. Obudzenie tych potrzeb, stworzenie dla sztuki powszechnego odpowiednika w życiu jest właśnie zadaniem krytyki. Nie może dokonać się to bez głębszych zmian społecznych, które dadzą właściwe warunki do rozwoju i upowszechnienia potrzeb estetycznych.

3.

O ŚMIERTELNOŚCI KRYTYKI

Stosunek krytyki do ideologii społecznych, już przez sam fakt jej łączności z życiem emocjonalnym gromady, jest bardziej rozgałęziony, niż jakiegokolwiek innej dziedziny sztuki. Nazwalismy krytykę instytucją spo-

lęczną — i z tego określenia wynika szczegółowe sformułowanie jej zadań. Jako reakcja na przejawy sztuki, wyrażająca sądy o najwyższym napięciu do jakiego zdolna jest epoka, krytyka reprezentuje ogólny poziom kultury estetycznej. Przejawia się w niej świadomy stosunek epoki do własnego życia duchowego. Nie każde dzieło sztuki stanowi miarę kultury swego czasu, inaczej nie mielibyśmy tylu twórców niepoznanych i tylu dzieł wysokiej wartości, które odkrywają dopiero następne pokolenia. Nie zmniejsza to wartości tych dzieł w dziejach, czasem przeciwnie wprost ją potęguje, przez nagłą rewelację. W stosunku do krytyki byłoby to jednak absurdem. Krytyka, przerastająca swą epokę, traciłaby życiowy sens, nie byłaby wyrazem swego czasu, stanowiłaby przejaw czysto indywidualny, pozbawiony związku z estetycznym interesem społeczeństwa, a więc rzecz niepotrzebną. Zapładniające znaczenie jej bowiem polega na tem właśnie, że nie jest ona trwała i wieczna w swych zjawiskach, że zależy w swych wartościach od czasu, że cały sok jej kipi nieustanną fermentacją. Zmienia się ona tak jak formy życia i, spełniwszy swe zadanie, przechodzi do muzeum w postaci zabytku, świadectwa kultury swego czasu, jego smaku i stylu; nie daje się jednak ożywić, nie może narzucać swej miary epoce następnej. Wielkie dzieła sztuki, obrazy, posągi i poematy zachowują swą wartość przez tysiące lat mimo zmian formy i mody, żyją aktualnie; sądy natomiast krytyczne ustępują sobie kolejno miejsca, narastają na sobie, spychają się nawzajem w nicość, stają się anegdotą. „Iliada” ma wartość nieprzemijającą, ale kogo dziś obchodzi, poza historykiem, sąd wydany o niej przez Greka współczesnego Homerowi? A nikt przecie nie ośmieli się twierdzić, że „Iliada” jest dla nas interesująca tylko, jako dziejowy dokument.

Wartość krytyki jest więc czasowa, i względna, w przeciwieństwie do sztuki, lecz za to stanowi ona warunek narastania przyszłości, żywej, kulturalnej fermentacji, która ogarnia daleko szerszy zakres, niż sama sztuka. Dzieło sztuki posiada mniejszy zakres dynamicznych wpływów, lecz treść statycznie trwalszą i głębszą. Krytyka zaś ma zakres i perspektywy dynamiczne nieograniczone, ale treść zmienną, względną i nietrwałą. Jest cała dynamiką, wysiłkiem świadomości, pracą krwi i nerwów, jak praca inżyniera, kierującego fabryką. Nie stwarza rewelacyj artystycznych, lecz jest ich matką. Z niej rodzi się ferment świadomości zbiorowej, gleba dla arcydzieł. Bez niej arcydziełami nazywanoby, sądząc z pochytyości i wzięcia, brukowe romanse lub pornograficzne obrazy. Dzięki niej istnieje miara społecznego wartościowania sztuki w każdej epoce, smak i styl.

Krytyka przeszła nie da się ocenić według sprawdzianów terażniejszych. Oceniać ją mogą tylko współcześni — historia może ją tylko przewartościować t. zn. przewyciężyć. Z tego stanowiska historia krytyki, jako wiedza posiłkowa, nie ma najmniejszego znaczenia w praktyce krytycznej. Krytyk, za każdym razem, musi stwarzać kryterja nowe, bez powoływania się na autorytety przeszłości, o ile chce być krytykiem żywym. Musi być podwójnie twórczy: stwarzać nietylko styl czasu, ale miarę i sprawdziany tego stylu o znaczeniu POWSZECHNEM. Stwarzać! — gdyż nie pomoże mu do formułowania sądów wartościowych ani tradycja, ani wiedza, ani podręcznik. I chociaż przyszłość jego fatalistycznie znaczy konieczność upadku,

obowiązkiem jego jest tę przyszłość stwarzać, budować dla samego siebie rusztowanie, szyć koszulę śmiertelną dla swych myśli, bez nadziei odwrócenia losu; następca jego nie będzie jego synem, chociaż będzie deptał po jego grobie.

Krytyka nie rozwija się bowiem, tylko narasta. Mówi się o kierunkach sztuki, prądach stc. Samo pojęcie sztuki jest już mniej więcej ustalone, posiada zdecydowany zakres i treść. Wszystkie odchylenia dadzą się tu podciągnąć pod jedną nazwę i najogólniejszą formułę, są etapami pewnej drogi, placówkami rozwoju. Krytyce zaś brak łączności między okresami, jest w niej pewna skończoność. Umiera ona z epoką i, jakkolwiek tworzy wiele rzeczy, staje się ofiarą swoich dzieł, pochłaniają ją, jak pleśń chleb, jej następcy. Porasta ona na powierzchni czasu, nie przeistacza się, nie jest dalszym ciągiem, zawsze jest skończona, pełna, współdziała z rozwojem — sama się nie rozwija. Krytyk z czasów klasycyzmu nie jest ojcem ani dziadkiem krytyka dzisiejszego, gdyż kryteria nowoczesne wchłonęły bez reszty i strawiły całą praktyczną, historyczną i filozoficzną wartość tamtych sądów. Nikt ich nie będzie stosował, nikt nie uzna ich racji bytu i potrzeby aktualnej.

4.

BŁĘDY I ZBOCZENIA

Mimo wszystkich swych społecznych zalet, krytyka jest dziedziną najbardziej narażoną na zwyrodnienie i psychopatyczne zбочzenia. Możliwość i łatwość błędu, pomyłki, jest bodaj czy nie największym ciężarem w pracy krytyka. Uznane w nim przez środowisko prawo sądu rozrastać się może aż do rozpętania namiętności czysto osobistych, do sadyzmu, nadużycia władzy wobec sztuki, a więc do naruszenia powagi i wartości sprawdzianów krytycznych. Jeżeli bowiem stwierdzimy z radością, że krytyk jest „także człowiekiem” i przypisujemy mu te same namiętności co sobie, to jednak, myśląc o krytyce, nie przypuszczamy ani na chwilę, iż namiętności te, czysto osobiste, mogłyby wywierać wpływ na charakter sądów przez nią wygłaszanych. Przypuszczamy istnienie namiętności, ale czysto estetycznych, w stosunku do dzieł sztuki, i uznajemy ich potrzebę. Ale z chwilą, gdy kojarzy się z nimi pierwiastek czysto osobisty: niechęć do autora, różnica przekonań politycznych, zawiść, konkurencja, urażone ambicje, wydają się one zбочzeniami i odchyleniami od naszego ideału krytyki. Godzimy się na krytykę subiektywną, lecz z niesmakiem przyjmujemy krytykę osobistą. Odczuwamy to, jako obrazę instytucjonalnego jej stanowiska, podobnie jak niesprawiedliwy wyrok sądu.

W krytyce obowiązują tylko walory intelektualne, kultura umysłu. Równie doniosłe znaczenie ma w niej kultura obyczajów, przyzwoitość i etyka. O ile sztuka sama przez się nie znosi ram przeciętnej moralności, i nie daje się podporządkować żadnemu prawu społecznemu, gwałcącemu często jej niezawisłość, — o tyle krytyka jest podporządkowana powszechnie przyjętym prawidłom etyki i kontroli społecznej. Co więcej, sama jest powołana do stwarzania norm etycznych w zakresie wydawania sądów. Albowiem krytyka może popełniać nadużycia, może krzywdzić.

Krok stąd tylko do zagadnienia odpowiedzialności.

Krytyka wymaga odpowiedzialności. To znaczy, że posiadając prawo sądu, może podlegać kontroli środowiska i sama może być sądzona. Nie wystarcza tu jedynie odpowiedzialność wewnętrzna, samo sumienie i ocena indywidualna krytyki przez siebie, gdyż autorytatywność jej i nieodwołalność staćby się mogła pokrywką dla nadużyć. Pod pozorem i hasłem sumienia może kryć się zwykłe szalbierstwo. Sumienie, ponoszące odpowiedzialność az sądy, zyska probierz dopiero wówczas, gdy oprze się o ciężar odpowiedzialności zbiorowej i nabierze wagi OPINJI. Cóż z tego skrzywdzonym jednak, jeżeli opinia ta działa po fakcie, jeżeli ma charakter historyczny, jest spóźnioną rehabilitacją lub przyznaniem się do błędu? Na prostowaniu pomyłek krytyki ludzkość więcej traci, niż zyskuje. Bieżąca kontrola krytyki i ograniczenie jej błędów byłoby zyskowniejsze od wszelkich odkryć i wydobywania minionych wartości. Dlatego krytyka powinna być odpowiedzialna aktualnie, wymaga jakiejś instancji, chroniącej społeczeństwo od nadużyć i fałszu osobistego, od niedo- i przeceniania, od tendencyjnego przemilczania. Instancją taką może być tylko opinia właściwych konsumentów sztuki, których głos w zakresie formalnym powinien obowiązywać fachowego krytyka. W miarę wzrostu powszechnej kultury estetycznej i literackiej, opinia rozszerza swój zakres. Powaga drukowanego słowa zmniejsza się, a zatem zwiększa się waga opinii. Despotyzm dzienników, działających na masy bez żadnej kontroli, w imię takiego czy innego nastawienia redaktorów, traci swoją dawną aureolę wyższej władzy kulturalnej, zmienia się w handel przekonaniem, w najbardziej ujemny przejaw kupiectwa, w samowolne żerowanie na opinii lub płatne służalstwo. To samo dzieje się przeważnie z prasą periodyczną, ulegającą względem personalnym, powierzającą sprawy sztuki jednostkom niekompetentnym, jako „rzecz drugorzędną” i niepopularną wśród przeciętnych czytelników. Siłą faktu dezorientuje to opinię, budzi w niej nieufność do krytyki i poczucie przewagi nad nią. Autorytet krytyki upada, a przywrócenie go zależy całkowicie od wzrostu OPINJI ESTETYCZNEJ W SPOŁECZEŃSTWIE, OD JEGO POSTULATÓW STAWIANYCH PRASIE. Bez głosu odbiorców, krytyka, zatopiona w komerażach towarzysko-literackich, nie zdoła się oczyścić i wyemancypować z narzucanych sobie ponęt: reklamy, usługi i fałszu. Niebezpieczeństwo zwiększa tu jeszcze dążność do tworzenia t. zw. grup artystycznych, które, wbrew zasadzie indywidualnej twórczości, hamują przez solidarność i zmwowę niezależność sądów krytyki. W takich warunkach, ułatwiających autorom pastwienie się nad krytyką niezależną, wszelkie wartościowanie zmienia się w komedię. Krytyka przestaje być publicystyką, wyradza się w dyplomację, politykę artystyczną, nie ogarnia całokształtu swej epoki, tylko ciasny kurnik, podwórko, zagrodzone przez kilka niewypierzonych często artystycznie jednostek.

Wniosek z tego, że epoka nasza posiada względnie mało warunków dla krytyki niezależnej, ma natomiast wszelkie dane na wielką ilość krytyków, już przez sam fakt wzrostu prasy. Nie wynika z tego jednak, iż krytyka, odpowiadająca naszym postulatom, jest niemożliwa. Niezależnie od dziennikarskiej opinii, mogłaby powstać instytucja społeczna krytyki, coś w rodzaju akademii, kontrolującej stan kultury artystycznej ogółu, kom-

petencje i rozstrzygającej problemy wątpliwe. Jeżeli akademja sztuki jest zawsze rzeczą dwuznaczną, zaspokajającą tylko ambicje bez wpływu na samą twórczość, to instytut i akademja krytyki miałyby znaczenie całkiem pozytywne, realne i określone, a ze społecznego stanowiska użyteczne. Wzmogłyby one zainteresowanie sztuką i przeprowadziły rewizję wartości dotychczasowych.

H. ZAŁSZUPIN

NIEPOTRZEBNY ROMANS

Prosta opowieść. Robotnik — telefonistka. Spotykają się, przypadkiem, w jakimś Luna-Parku. Spodobali się sobie, pokochali się. Ale w tysięcznym tłumie stracili się z oczu. Zapada wieczór. Pada deszcz. Nigdy się już nie spotkają. (W New-Yorku!).

Film, obecnie wyświetlany w Berlinie. Reżyser „rozwiązał” sytuację tak, że młodzi mieszkają obok siebie. Ale przypuśćmy — poprostu — że straciwszy się z oczu, już się nie spotkają. Nie chodzi o prawdopodobieństwo, o to, co jest „życiowe” — ale o pozostanie w ramach jednej rzeczywistości. W tej rzeczywistości zaś, że powiem: w jej wymiarach, nie mieści się spotkanie. (Na sali pomruk: idjotyczny film).

Niestety, w romansie jest końcowy punkt. „Miłość p. L. — powiada p. Prędski *) — da się opowiedzieć: 1) od chwili powstania do jej rezultatu, 2) od rezultatów miłości p. L., cofając się wstecz do chwili powstania, 3) od któregoś z środkowych etapów tej miłości, zazwyczaj od punktu kulminacyjnego, cofając się wstecz do chwili powstania, by później, jednym skokiem powrócić do miejsca, w którym się opowiadanie przerwało, i kontynuować je aż do rezultatów tej miłości”.

Tedy zawsze są „rezultaty” miłości — i do nich, lub od nich, zmierza tok akcji. A może same „rezultaty”? A może miłość bez „rezultatów”, jak w przypadku okrojonego filmu? Nie, p. Prędski zakłada, gdy mówi o etapach, że „miłość p. L. da się opowiedzieć” od A do Z, nie inaczej — dlatego, że musi być i A i Z, i dlatego, że „powieść musi być tematowo dobra, czyli, zawierać w sobie możliwości rozwojowe powieści”. Ale możliwości rozwojowe zawiera właśnie nowela o robotniku i telefonistce, niezakończona głupim spotkaniem u drzwi — gdy miłość p. L., zakrojona na powieść, nie zawiera ich zgoła! Przedewszystkiem dlatego, że obieranie tematu, w którym dopuszczalna zmienność elementów znajduje się w czasie — to ubożenie rzeczywistości o przekroje przestrzenne. W hipotetycznej noweli zaś o robotniku i telefonistce dany jest właśnie przekrój przestrzenny, odcinek, dwa punkty na jednej z krzywych linii życia.

Gdy „miłość p. L.” rozkładamy na etapy: powstanie, punkt kulminacyjny, rezultaty — zdumiewa nas płytkość, ciasnota takiej teorii powieści! —

*) Patrz Nr. 1 „Europy”.

nietylko że po uszy tkwimy w „literaturze“, ale zakreśliamy rzeczywistości granice własnej miernoty. Nastawienie, w którym czas, niby akumulator na prąd zmienny, jest źródłem i najgłębszą treścią przewrotów, wypływa z rutyny, z jakiejś bezmyślności. Rzeczywistość wiąże się tam z jednostką czasu. Podobnie, jak jest początek akcji, jej koniec, musi i w czasie być początek, REZULTAT. Cokolwiek się tam staje, staje się w czasie. Identyfikacja procesów psychicznych z biegiem przeżyć w czasie — tempus edax rerum — funkcjonalna zależność treści od czasu, cała ta „życiowość“, cała ta literatura rzeczywistości niezmiennej, oczywistej, biernej, jest zmechanizowana. Każdy obiekt — miłość p. L. — zatracza treść właściwą. Powieści odtwarzają — choćby z tendencją, „modernistycznie“ — lecz jednakowo, według przyjętej normy, stany skatalogowane, przeżycia. Tak zwane obserwacje — psychologiczne — gromadzenie odpadków — i t. zw. analizy — spreparowanych sytuacji — oto praca umysłowa powieściopisarza. „Chodzi o przetworzenie każdej życiowej treści na treść powieściową — woła p. Prędski — o dostosowanie do ram...“ Powieściowa treść! Bawimy się w piasku: zdjęta foremka odsłania rybkę, babę. O to tylko chodzi. Nałożyć blaszkę, przycisnąć, i ostrożnie zdjąć.

Nie, — dość łatwizny literackiej!

Wielość rzeczywistości, w najlepszym razie, jest dla pisarza „filozofią“. Niezrozumienie jej działa kojąco. Napewno z błogiem uczuciem wygodnie ogląda powieściopisarz swoje paznokcie. E pur si muove... Rzeczywistość konkretna, z której — być może — wyrastają pochodne... imaginowane... czy jak tam... No, ale...

Porównałbym rzeczywistość z dość wąską ślizgawką, wzdłuż której są tory, jak na terenie biegu, ale krzywe — tak, że tworzą esy floresy. Jednym z nich jest świadomość, innym — marzenia na jawie, innym znów — sny. Dla każdego to wszystko wygląda inaczej, różny jest rysunek, różne zażebienia. Ślizgamy się. Coraz to inne przebiegamy tory. Świadomość uniemożliwia nam rozróżnienie granic — i odwrotnie, gdy zatrzymujemy się na torze snów, czy marzeń na jawie, świadomość ustaje. Kontroler śpi, albo ma wychodne.

W literaturze fantastycznej, w bajkach, w baśniach, i w symbolicznej poezji panują marzenia. Literatura powieściowa ograniczyła się do... „odtworzenia rzeczywistości“. Ranga umysłowa 90 procent t. zw. literatury twórczej, jak mówi Irzykowski, zdecydowała o jednotorowym biegu powieściowych postaci — postaci papierowych, bo to, co w nich widzimy, co zamknięte jest w ramach, ciągnie się z „obserwacji“ w jakimś zamku na lodzie (zamkiem na lodzie jest nietylko baśń). W życiu tych postaci wszystko się wiąże, „fakty“ są obmyślane, policzone, cyfrowane. Pierwsze wypływają z „konstrukcji“ powieści, drugie z pierwszych, trzecie z drugich. Zaiście, cudowna logika wydarzeń! Pierwszy Dostojewski sypnął illogizmem, no, ale to przecież demoniczne postaci, typy patologiczne; zresztą, autor — wie Pani? — był chory.

• Powieści tego typu, t. j. prawie wszystkie, stały się niemożliwe w tym logicznym łańcuchu. Dużo mówi się u nas o zakłamaniu w powieści. Problem tkwi głębiej. Odkłamywacze nawet nie zdają sobie sprawy, jakiego

trzeba przewrotu w powieści, jakiej walki, by pisarze uwzględnili przekroje tych torów, które usytuowałem na lodzie. Odżywczy jest w tej atmosferze André Breton. Ale surrealizm omówię oddzielnie. Wróćmy do przykładu okrojonego filmu.

Nic się nie dzieje, nic się nie kończy, choć zaczyna się miłość dwojga młodych. Temat nie leży, jak widzimy, w faktach. Nawet spotkanie... Bo jakąś dziewczynę każdy chyba spotka, w niedzielę, w Luna-Parku; a że mu się podoba z pierwszego wejrzenia, że po godzinie się w niej zakochuje — to zdarza się po kilka razy dziennie.

Powiedziałem: ponowne spotkanie nie leży już na tym samym torze. Niepostrzeżenie przebiegliśmy na tor marzeń na jawie. Dlatego na tym odcinku rozwija się powieść. W tym sensie rozumiem owe „możliwości”. Początek, lub koniec powieści bowiem znaczony jest przejściem z toru na tor, z jednej, dowolnej rzeczywistości w drugą, która się narzuca, która jest tuż obok. Zadaniem powieściopisarza jest odkrywanie — nie wynajdowanie! — płaszczyzn życia, brył, wzajemnego stosunku, kąta, pod którym je widzi czytelnik, „bohater”, sam autor, i t. d. — Powieść jest 1) sondą, 2) analizą zgłębionej treści, zawartości kawałka (tematu), 3) planem przedstawiającym stosunek tego kawałka do bloku, którego jest częścią, 4) filozofią oderwania się kawałka, poniekąd — zlutowaniem go z całością.

Nie, nie bawimy się rybką z piasku. Ryba musi być prawdziwa, żywa. Wyławiamy ją, badamy, staramy się odkryć jej właściwości, śledzimy jej mękę, gdy trzepece w misce — i puszczamy do wody. „Opowiedzieć da się” taka historia bądź ze stanowiska rybki, bądź widza, bądź autora (managera) — bądź innej rybki, która się przyglądała, bądź tej, co — usmażona — już była w czymś brzuchu. Bo są rzeczy, o których nie śniło się teoretykom powieści.

Roman
Markuszewicz

„NA ZACHODZIE NIC NOWEGO“ *)

„Książka ta nie powinna być uważana, ani za oskarżenie, ani za wyznanie wiary. Jest ona tylko próbą zdania sprawy z dziejów pokolenia, zniszczonego przez wojnę, wówczas nawet, jeśli uszło ono przed granatami”. Autor stawia sobie więc za zadanie: zbadanie nie tych ran fizycznych, jakie zadała wojna, lecz choroby psychicznej, wywołanej przez wojnę i niszczącej tych, których nie dosięgły granaty.

*) Szkic analizy popędu samozachowawczego na podstawie książki Remarque'a. Specjalnie wojna wskazuje na dużą rolę popędu samozachowawczego w życiu psychicznym człowieka, co dotychczas nie zostało uwzględnione przez teorię libido **Freuda**, zajmującą się z natury rzeczy popędem seksualnym. Obszerniej zagadnienie to poruszam w pracy, znajdującej się w druku w „Jahrbücher f. Psych. u. Neurologie”.

Zapewne, obcy jest autorowi, jako artyście, punkt widzenia lekarski: nie definiuje on ściśle owej choroby psychicznej, nie stara się ustalić warstw psychicznych, na których podłożu rozwinęło się to cierpienie. Z każdej stronicy jednak tej wstrząsającej swą prawdą książki płynie spowiedź udręczonego człowieka, która jest tak psychologicznie przejrzysta i zgodna z tem, o czem niejednokrotnie mamy możność słyszeć podczas seansów psychoanalitycznych, że chciałbym bodaj w krótkim szkicu ująć ściślej to, co autor dojrzał w swej wizji artystycznej.

*
*
*

Treścią są tu dzieje grupy żołnierzy, składającej się z uczniów gimnazjalnych, namówionych przez dyrektora szkoły, Kantorka, do wstąpienia do wojska. Po krótkotrwałym zapale — występuje szereg sprawdzianów życiowych: wyrafinowane udręki życia koszarowego, życie pełne wyrzeczeń w polu, stałe obcowanie ze śmiercią, co powoduje wzmożoną dążność do zwalczania jej, — (sztuka, którą przyswaja sobie młodzież cd doświadczonego i starego żołnierza Stanislaus'a Katczinsky'ego). Wobec tych realności życiowych nie może się ostać tani idealizm Kantorka. Żołnierze Remarque'a nie okłamują siebie, nie ukrywają wstydlive tego, co jest istotnie ludzkie: wyczerpani głodem, pokąsani przez robactwo, znękani ciągłą obawą i walką ze śmiercią, marzą o wyspaniu się w łóżku, o napełnieniu strawą żołądka, o rozkoszy, płynącej ze spełnienia czynności fizjologicznych organizmu. Widzimy tutaj **regresję psychiczną** do stanu **pierwotnego, infantylnego**. Ta regresja do stanu pierwotnego spowodowana jest z jednej strony przez uczucie bezbronności wobec stale czyhającej śmierci, z drugiej zaś przez rozczarowanie i odwrócenie się od tego wszystkiego, co się nazywa cywilizacją, a co z taką pogardą autor uosabia w Kantorku. W obliczu śmierci mądrość Katczinsky'ego wyżej stoi od cywilizacji Kantorków: pierwsi bowiem uczą unikać śmierci, — drudzy natomiast całą swą „mądrość” oddają na usługi śmierci, pozostawiają w jej sidłach młodzież, mając przy tem przyjemne poczucie spełnionego obowiązku obywatelskiego. Dlatego z taką miłością odtworzona jest postać starego żołnierza z ludu, Katczinsky'ego, — naskutek bowiem regresji do stanu pierwotnego, ideologia uczniów gimnazjalnych zamienia się na trzeźwy rozsądek człowieka z ludu, który liczy się jedynie z faktami. Rozumiemy żołnierzy Remarque'a, którzy walczą nie z urojonym wrogiem Kantorków, lecz z realną obawą śmierci, w obliczu której ostać się może tylko to, co w człowieku jest najistotniejsze: **popęd samozachowawczy**. O przebudzeniu się instynktu samozachowawczego ze wzmożoną siłą, który góruje nad wszystkimi innymi przejawami życia, mówi autor w następujących słowach: „Życie tutaj na pograniczu śmierci posiada niezwykle prostą linię, ogranicza się do spraw najistotniejszych, — wszystko inne spoczywa w głębokim śnie; na tem polega nasza pierwotność i nasz ratunek” (str. 267).

„Każdy przejaw życia powinien służyć tylko utrzymaniu życia i jest obowiązkowo w tym kierunku nastawiony. Wszystko inne jest wyłączone, gdyż zużytkowałoby niepotrzebnie siły...” (str. 268).

Widzimy więc, że psychiczna regresja do pierwotnego stanu uwarunkowana jest przez wzmoczony popęd samozachowawczy. Ten właśnie wzmoczony popęd powoduje w chwilach największego niebezpieczeństwa, a więc podczas ataku nieprzyjaciela, wybitny **egocentryzm** żołnierzy: na pierwszy plan występuje myśl o narażaniu **własnego** życia, — stąd bezwzględność w zwalczaniu wszystkiego, co temu życiu zagraża. Zabicie wroga oznacza w skrócie myślowym podczas wojny usunięcie niebezpieczeństwa własnego życia. Dzięki temu egocentryzmowi budzi się **nie-nawiść**, umożliwiająca zabójstwo przez człowieka, który nigdy nie zdobyłby się na podobny czyn w stanie zwykłego myślenia. Kiedy jednak chwila niebezpieczeństwa mija, ustępuje napięcie popędu samozachowawczego, egocentryzm maleje — a budzi się refleksja, że zabójstwo, nawet w imię obrony własnego życia, jest przecież przestępstwem. Płynie stąd **poczucie winy**, które w sposób wstrząsający odtworzone zostało przez autora w scenie zabójstwa dokonanego przez bohatera książki na żołnierzu francuskim, spotkanym oko w oko w leju.

„Trup ten jest związany z mem życiem, i dlatego muszę wszystko uczynić i przyrzec, aby znaleźć ratunek. Ślubuję więc nieprzytomnie, że chcę żyć tylko dla niego i jego rodziny, drżącymi wargami przemawiam do niego, a przy tem tkwi we mnie głęboko nadzieja, że dzięki temu okupię siebie i jednak wydam się stąd, — mały podstęp, który ocenić można dopiero później. I dlatego otwieram notes nieboszczyka i czytam w skupieniu: Gérard Duval, typograf...”. „Zabiłem drukarza Gérard'a Duval'a. Muszę być drukarzem, myślę w stanie zamroczenia, drukarzem, drukarzem”. (str. 224 i 225).

Ze zdumiewającą prawdą psychologiczną odtworzony jest tutaj stan psychiczny człowieka, obciążonego **poczuciem winy**. Trzy są bowiem możliwości, dające ujście temu najbardziej zakłócającemu równowagę psychiczną uczuciu. O ile poczucie winy zostało zepchnięte do nieświadomości, przejawia się ono symbolicznie pod postacią choroby nerwowej, jak histerja, depresja, różne stany lękowe i t. d.: wówczas bowiem człowiek nieświadomie wymierza sobie karę za pośrednictwem owej choroby nerwowej. Jeżeli zaś poczucie winy jest świadome, to w przypadkach wyjątkowych może ono doprowadzić człowieka nawet do szukania we własnej śmierci rozwiązania tej tragicznej sytuacji. Tak też się dzieje z bohaterem książki: ginie on nie podczas huraganowego ognia, lecz wówczas, gdy na froncie panuje taki spokój, iż dowództwo ograniczyło się do krótkiego meldunku: na zachodzie nic nowego. Śmierć więc ta przeznaczona była tylko dla niego jednego. Śmiercią okupił winę.

Zapewne, nie jest to wyjście z sytuacji w należyтым tego słowa rozumieniu. Tragiczny koniec książki jest miernikiem ogromu winy, odczuwanej przez samego autora, wynikiem jego surowej moralności. W obliczu śmierci towarzysza, niedawnego wroga, Gérard'a Duval'a, bohater książki ślubuje: „Jeżeli ocaleję, towarzyszu, będę walczyć przeciwko temu, co nas zniweczyło: tobie odebrało życie, — a mnie? również życie. Obiecuję ci, towarzyszu. Nigdy więcej nie powinno to się zdarzyć!”—

Autor dotrzymuje obietnicy. Drukuje książkę, która — nie zważając na zastrzeżenie autora, że nie powinna być uważana, jako oskarżenie — jest niem w znaczeniu doskonałym. Że Gérard Duval był drukarzem, nie uważamy tego za przypadek. Dzięki wyjątkowej swej intuicji, autor wskazuje jak gdyby na samym sobie ową trzecią możliwość, dającą ujęcie poczuciu winy w sposób najbardziej doskonały: poprzez **utożsamienie się z wrogiem**, wyrzec się nienawiści, która wówczas będzie bezprzedmiotowa, — zaś nagromadzoną przez wojnę energję pierwotnego popędu samozachowawczego uwznioślić, obracając ją na walkę nie z urojonym przeciwnikiem, lecz z tem wszystkiem, co umożliwia tę najstraszniejszą, nie tylko fizyczną, lecz i moralną klęskę, jaką jest wojna. Wynikiem tej sublimacji popędu samozachowawczego jest książka Remarque'a.

* * *

Podłożem choroby psychicznej, na którą cierpią ci wszyscy, których nie dosięgły granaty wojny, jest rozpętany pierwotny popęd samozachowawczy. Zjawisko to jest tem smutniejsze, że nie znajduje naogół tego bezwzględного sprzeciwu ze strony społeczeństwa, na jakie napotyka przejawienie się popędu seksualnego. Porządek społeczny ugruntowany jest w równej mierze na tłumieniu instynktu seksualnego, jak na wzmaganiu popędu samozachowawczego: o ile tłumienie i sublimacja popędu pierwszego jest źródłem moralności, o tyle utrwalanie popędu drugiego jest przeciwagą tej ideologii, dla której zbyt ciasno pojęty porządek społeczny mógłby się stać zbyt sztywny. Lecz podobnie jak trwałe tłumienie popędu seksualnego, tak i nieustanne wzmaganie instynktu samozachowawczego nie może ująć bezkarnie. Nagromadza się bowiem wówczas tak wielka ilość energii psychicznej, że w imię zachowania równowagi musi ona być zużytkowana. Bezlitosna walka człowieka pierwotnego o byt dawała możność wydatkowania energii psychicznej, płynącej z wzmożonego popędu samozachowawczego. Człowiek współczesny nie różni się zbyt od swego pierwowzoru i prowadzi równie zaciętą walkę, jeśli nie o byt w znaczeniu pierwotnego człowieka, to o poziom życia. Zmieniły się tylko metody tej walki: wymagają one tłumienia i sublimacji nienawiści, płynącej z wzmożonego popędu samozachowawczego. Historia nienawiści jest równie stara, jak i historia miłości. Spotęgowana nienawiść musiała już być oddawna czynnikiem, rozsadzającym społeczeństwo, jeżeli już pierwszy prawodawca dążył do poskromienia jej nakazem miłości bliźniego, apelując przy tem jednak znowu do instynktu samozachowawczego. Odtąd historia cywilizacji człowieka jest historją sublimacji popędu samozachowawczego. Niezbyt trudno dopatrzyć się w dążnościach dobroczynności, w hasłach braterstwa i równości, tendencji do zabezpieczenia się, do utrwalenia własnej pozycji.

Sprowadzając powyższe dodatnie dążności człowieka do popędu samozachowawczego, bynajmniej nie zamierzam ich w ten sposób poniżyć, czy pomniejszyć. Sądzę jednak, że tylko wówczas będą one trwałe, jeśli jednocześnie z sublimacją postępować będzie faktyczne tłumienie popędu samozachowawczego. W przeciwnym razie sublimacja ta będzie niewystarczająca, a stale nagromadzająca się nienawiść przejawiać się będzie w postaci pierwotnej.

Zapewne, owo tłumienie popędu samozachowawczego natrafia na wielkie przeszkody. Społeczeństwo zainteresowane jest tylko w tłumieniu nienawiści, lecz dąży do wzmożenia popędu samozachowawczego. Zadanie to jest nieosiągalne — i tutaj tkwi źródło konfliktów psychicznych, tembardziej, że żądając wyrzeczenia się nienawiści, społeczeństwo apeluje niestety do instynktu samozachowawczego — tego, jak widzieliśmy, źródła nienawiści. Niemożność tłumienia nienawiści w tym stanie rzeczy przejawia się niejednokrotnie, jak o tem poucza chociażby obserwacja życia codziennego, z całą jaskrawością zaś wyraża się ogrom nienawiści ludzkiej podczas wojny. Wówczas budzi się poczucie winy. Racjonalizacją zaś poczucia winy są zazwyczaj rozważania, kto ponosi odpowiedzialność za wywołanie wojny, przyczem każdy stara się obarczyć tą odpowiedzialnością swego przeciwnika. Z racjonalizacji tej widzimy, że nawet najokrutniejsza wojna nie wyczerpuje całego źródła nienawiści, tkwiącej w poszczególnych narodach. Lecz, co najważniejsze, racjonalizacja owa jest dowodem nieszczerości wobec samego siebie, nieudolną próbą ukrycia prawdziwego poczucia winy za to wszystko, co przejawiało się w każdym człowieku podczas wojny. Nienawiść bowiem, ukrywana dotychczas w nieświadomości, ukazała swoje prawdziwe oblicze. Wobec tego ogromu nienawiści, zagrażającego istnieniu społeczeństwa, rozpoczyna się gorączkowa praca w kierunku sublimacji — znów w imię popędu samozachowawczego. Wyrzeczenie się wojny, jako zła, zagrażającego całej ludzkości, Liga Narodów — stają się najbardziej aktualnymi hasłami. I historia cywilizacji jest nadal historią nieudolnych prób sublimacji popędu samozachowawczego.

Jak ten konflikt psychiczny przeżywa Remarque? Na wstępie zastrzeżę się, że nie oskarżam, — ponieważ sam czuję się w roli oskarżonego. Nie stara się nikogo obarczać winą, — gdyż cierpi z powodu poczucia własnej winy. To stanowisko autora jest tak inne w porównaniu z wszystkimi, którzy dotychczas przeciwko wojnie pisali, że zmusza czytelnika do zastanowienia się, do zajrzenia w głąb własnej nieświadomości. A wówczas zaczyna budzić się niepokojące poczucie własnej winy, które nakazuje czytelnikowi utożsamić się z bohaterem tej niezwykłej książki. Przeżywamy odtąd dzieje bohatera z szczególnym niepokojem, w ślad za autorem utożsamiamy się z niedawnym wrogiem, obecnym towarzyszem. Tłumimy w sobie — już nie nienawiść, lecz sztucznie rozpętany popęd samozachowawczy, gdyż wobec śmierci znika nienawiść. Przeżywamy wreszcie śmierć bohatera, jako symbol wyzbycia się winy przez poniesienie kary.

W tem tkwi tajemnica zasłużonego powodzenia książki Remarque'a: wdzięczni mu jesteśmy za to, że pozwolił nam — bodajże częściowo, nieświadomie, odreagować poczucie winy, rozpętane przez wojnę, ale żywotne w duszy każdego człowieka. Czy jednak reakcja nieświadoma jest wystarczająca do wyzbycia się poczucia winy? Autor ze smutkiem twierdzi, że współczesne mu pokolenie jest pod względem psychicznym zniszczone przez wojnę. Dodajmy: nie tyle przez samą wojnę, ile przez to, że wojna była i jest nadal możliwa. Ale przyczyna zła tkwi nie w tem pokoleniu, nawet nie w pokoleniach poprzednich. Wynika ona z niemożności wyzbycia się nienawiści przy stałym wzmagananiu się popędu samozachowawczego. Ten prastary konflikt człowieka domaga się szczerego uświadomienia.

J E D N I :

*zawieszeni na własnym wzroku,
uniósłszy ziemię,
soczewkę wieczności,
wysoko,
po linie z błękitu rozwijanej patrzeniem
wspinają się wymiary nad siebie podnosić,
toczą glob, grubo posrebrzany luną,
odplątują przestrzenie,
aż
ziemię
otyłą ciałami niebieskimi, ubraną w muł
[gwiazd
na dnie
rozedmą przez szkło lunet
w pochłaniającą banię
jedni.*

DRUDZY:

*wnikają w grunt,
jeden zdrabniają źrenicami w pół, pół
[w ćwierć, ćwierć w
. Boga:
punkt*



ZMĘCZENI

*Zmęczeni, spoczawszy na posłaniu z dłoni,
czekamy,
aż parujący pot z ciała nas ulotni
i poniesie na marzeniach,
aby nas położyć na rzesach, w kołysce z dwóch powiek*

*W pokojach ciszy, na podścielonych snach
odpoczywamy
uchyleni połowie,
a czyn nasz, tak cały, że obie ręce przepelniał,
przez nasze źrenice się toczy.*

*Minuty mijają nas
i czas pełźnie w błękanie naszych oczu.*

UWAGI:



Ankieta „Europy“ Redakcja „Europy“, pragnąc dać wielostronne oświetlenie zagadnień nowoczesnej plastyki, rozesała do wybitnych artystów europejskich ankietę, złożoną z dwu pytań:

1) Jak się Pan (i) zapatruje na obecny stan sztuki nowoczesnej?

2) Jaki kierunek wysiłków i poszukiwań w sztuce nowoczesnej uważa Pan (i) za najbardziej celowy i produkcyjny?

Z nadesłanych dotychczas odpowiedzi drukujemy dwie, jedną słynnego architekta holenderskiego Theo van Doesburga, drugą polskiej pionierki modernizmu w zakresie rzeźby Katarzyny Kobro.

Rzeźba i bryła. Rzeźbiarzy nowoczesnych jest bardzo niewiele. Czy to wynika ze stanu materialnego? Czy z tego, że rzeźba obecnie zbyt bezpośrednio kształtuje architekturę, tak, że każdy architekt prawdziwie nowoczesny powinien być dobrym rzeźbiarzem nowoczesnym?

Boccioni w swych rzeźbach futurystycznych pokazał nam drogę wyzwolenia rzeźby od ciężaru bryły. Archipenko otworzył wnętrze bryły, zachowując jednak zamknięcie jej obwodu. Vantongerloo, wyczuwając konieczność harmonji wymiarów i klasycyzmu nowoczesnego, buduje rzeźbę, jako współstosunek kilku sześcianów, zamkniętych w ogólnym sześcianie obwodu.

Van Doesburg w swoich nielicznych eksperymentach malarsko-architektonicznych zapowiedział rozwiązania przestrzenne w budowie rzeźby z płaszczyzn i brył, lecz to, co zapowiedział, nie było ani malarstwem, ani rzeźbą, ani architekturą. Nasuwało to jedynie pomysły tego, co można osiągnąć. Malewicz w swoich budowach dynamiczno-przestrzennych i w swych rozważaniach teoretycznych, podnosi zagadnienie równowagi rozmieszczenia ciężarów mas w przestrzeni. Jak był prorokiem malarstwa abstrakcyjnego, tak teraz w swoich rzeźbach architektonicznych zapowiada nową erę architektury, wyrastającej z rzeźby współczesnej.

Rzeźba jest kształtowanie przestrzeni. Chcąc poznać rzeczywistą tendencję rozwoju rzeźby, należy porównywać najwyższe osiągnięcia terażniejszości. Nie należy zważać na to, co robi większość mniejszych rzeźbiarzy, lecz brać pod uwagę jedynie zdobycze tych, którzy torują drogę. Po drugie: należy stanowczo i bezpowrotnie raz na zawsze uświadomić sobie, że rzeźba nie jest ani literaturą, ani symboliką, ani indywidualną psychologiczną emocją. Rzeźba jest wyłącznie kształtowaniem formy w przestrzeni. Rzeźba zwraca się do wszystkich ludzi i przemawia do nich w sposób jednakowy. Jej mową jest forma i przestrzeń. Stąd wynika obiektywizm najekonomiczniejszego wyrazu formy. Niema kilku rozwiązań; jest jedno—najkrótsze i najłatwiejsze.

Rzeźba stanowi część przestrzeni, w jakiej się znajduje. Dlatego nie powinna być od niej odłączona. Rzeźba wchodzi w przestrzeń, a przestrzeń w nią. Przestrzenność budowy, łączność rzeźby z przestrzenią, wydobywa z rzeźby szczerą prawdę jej istnienia. Dlatego w rzeźbie nie powinny być kształty przypadkowe. Powinny być tylko te kształty, które ustosunkowują ją do przestrzeni, wiążąc się z nią. Bryła jest kłamstwem wobec istoty rzeźby. Zamyka ona rzeźbę i oddziela ją od przestrzeni; istnieje sama dla siebie i przestrzeń wewnętrzną traktuje, jako coś wręcz odmiennego, niż przestrzeń zewnętrzną. W rzeczywistości jednak przestrzeń zawsze jest jednakowa i ta sama. Obecnie bryła należy już do historii i jest piękną bajką przeszłości.

Łącząc się z przestrzenią, nowa rzeźba powinna stanowić najbardziej skondensowaną i najbardziej jednolitą część tej przestrzeni. Osiąga to, ponieważ kształty jej przez swe uzależnienie od rytmu tworzą rytm wymiarów i podziałów. Jedność rytmu powstaje wskutek jednolitości skali obliczeniowej.

Wobec rzeczywistości jest zewnętrznym objawieniem liczby. **K. Kobro - Strzezińska.** Sztuka nowoczesna jest sztuka modernistyczna cechuje zamęt, brak wytycznych, który dostrzegamy w różnorodnych i indywidualnych tendencjach. Jedynie w architekturze

stwierdzić można kierunek ściśle określony we wszystkich niemal krajach, nawet w Italii i Hiszpanii, gdzie architektura idzie po linii konstrukcyjnego racjonalizmu. Motorem wysiłku jest wszędzie raczej ambicja „domowa”, niż ambicja „plastyczna”. Historia się powtarza. To, czego nie uznaje się jako „czystej sztuki”, jako obrazu lub plastyki, jest zawsze dość przyjemne dla oka, jako „afisz”, „anons”, „pull-over”, jako tkanina, dekoracja, film lub fotografia i t. d. Wszystkie te zastosowania stworzyły t. zw. w Paryżu „sztukę ludową”, która nie jest niczem innym, jak przemijającą modą.

W dziedzinie sztuki „wyzwolonej”, (mówię o malarstwie), modę tę tworzą „kunsthaendlerzy”, którzy wszystkimi możliwymi środkami (krytyką sztuki, wydawnictwami, wystawami, rynkiem i t. d.), usiłują zatrzymać wszelkie poważne ewolucje sztuki. Z powodu zaś zależności malarzy od swych handlarzy, niektórzy artyści stali się „kunsthaendlerami”, gdy niektórzy handlarze stali się malarzami — ponieważ oni właśnie narzucają malarzom kierunek artystyczny.

Stan tak opłakany i tragiczny z punktu widzenia „kultury” zniszczył wielu malarzy poprzedniego pokolenia, którzy byli kiedyś bohaterami rewolucji malarzkiej.

2) Ale poza tym merkantylizmem, w każdym kraju, nawet we Francji, żyje kilku skromnych i bezinteresownych twórców, szczerych twórców jutra. Ci nie pracują ani dla snobów, ani dla rynku, ale dla przyszłości, dla nowego świata. Mam na myśli nowe pokolenie, składające się z prawdziwych artystów, którym nie chodzi o zadziwienie zblazowanej burżuazji sztuczkami i trikami, ale którzy w swych pracowniach — laboratorjach, opierając się na współczesnej nauce, poszukują elementów i praw sztuki uniwersalnej.

Zawieram przyszłości, bo zawieram im. Po snobistycznej sztuce dzisiejszej, przez zburzenie bożków mieszczańskiego społeczeństwa: liryzmu i uczuciowości, przyjdzie sztuka poważna, sztuka elementarna, metodyczna i naukowa. I to wydać mi się najwłaściwsze i najbardziej wydajne.

Theo van Doesburg.

Dwa oblicza: „Pamflety” Nowaczyńskiego Nie jest to chyba przypadkiem, że o Leonie Daudet pisał u nas poraz pierwszy Adolf Nowaczyński. Kto zna tragiczne życie Leona Daudet, marnego powieściopisarza, lecz doskonałego krytyka, genialnego pamflicyście i dziennikarza ze wszystkich francuskich najzjadliwszego, który dla dowcipu poświęcił przyjaciela, a dla pamfletu własnego syna, ten zrozumie, dlaczego jedynym człowiekiem, o którym Nowaczyński wyraża się z nabożnem niemal poważaniem i uznaniem, jest właśnie Leon Daudet. Jeśli już mieć bóstwo, to na obraz i podobieństwo swoje.

Ale jak we Francji Leon Daudet, tak u nas Nowaczyński czeka jeszcze na swego krytyka. Obydwa są bowiem przez „opinję publiczną” okaleczeni, półciartowani, umniejszeni i poszufladowani, a więc wciąż jeszcze zapoznani i nieznanzi. Powiedziałbym prawie, że w oczach teje opinii istnieją obydwaj jakgdyby tylko do swej górnej połowy, czyli od stóp do pępka. Reszta ich istnienia jest nieznaną, lub raczej nieuznaną, otoczona konspiracją milczenia, systematycznie zabijana. Widzi się w nich tylko strony najciemniejsze, jak widziało się kiedyś w Przybyszewskim tylko alkoholiczka. Ale nie widzi się, nie chce się widzieć lub udaje się, że się nie widzi tego, co jest poza tem, ponad tem. Bo obydwaj potrafią prześcignąć samych siebie i samych siebie przewyższyć. To jest zresztą ich tragedją.

Tego rodzaju „przerostem”, przewyższeniem i przewyżczeniem jednego swego „ja” są właśnie świeżo przez firmę F. Hoesicka wydane „Pamflety” Adolfa Nowaczyńskiego, polskiego Leona Daudet. I nie o to mi chodzi, że pod względem formy artykuły te mogą służyć jako wzór najświetniejszej feljtonistyki, że pod względem języka osiągają głębie i szczyty, dla nielicznych tylko pisarzy naszych dostępne, że pod względem jasności myśli są one już nie sarmackie i słowiańskie, lecz latickie i rzymskie, ale że te myśli właśnie są wzniosłe, czyste, nabrzmiałe bólem, ukapane w szlachectwie i płonące świętymi ogniami, że są to myśli o bohaterskim patosie, których wielkość przejmuje zgrozą, i które trzeba przyznać, przyjęc bez względu na to, czy się jest komunistą, liberałem, Żydem, przyjacielem, lub wrogiem ich autora. Ten Nowaczyński, który w związku z wypadkami lwowskimi w 1919 r. powiedział, że potępic każdy pogrom, choćby tak imponujący rozmiarami, jak pogrom lwowski, w artykule o „Niespodziance” K. H. Rostworowskiego zdobyć się na najgłębsze miłosierdzie, na najszlachetniejsze zrozumienie nędzy ludzkiej. Ten sam, który autor artykułu, przypominającego w najlepszej intencji zbliżanie do setlecia Kochanowskiego, „zjechał” tylko dlatego, że jest Żydem, broni „pół-Żyda” Słowackiego przed „Białorusinem Mickiewiczem”.

tamtego swą wielkością; a czyni to w tak zarliwych słowach, że za ten jeden artykuł Nowaczyńskiego o Słowackim, oddałbym tomy Kleinerów i jeszcze **kleineren** Wołoszynowskich.

Ten sam — powiedziałem — Nowaczyński? Nie, nie ten sam, ten — drugi, ten — lepszy, ten z sercem, przez które przechodzi myśl, i ten z myślą, w której drga serce. Ten od pępka do głowy...
Artur Prędski.

Powieść o Koperniku: „Kłós Panny“ L. H. Morstina.

Carlyle powiedział kiedyś, że napisać dobrą biografię jest tak samo trudno, jak przeżyć dobrze życie. Komentując to zdanie, André Maurois, najlepszy dzisiaj teoretyk powieści biograficznej, nazywa Carlyle'a... optymistą. Według niego bowiem dobrze napisana powieść biograficzna jest jeszcze rzadziej spotykaniem zjawiskiem, niż dobrze przeżyte życie. Co do mnie, dodałbym, że w każdym razie trudniej jest napisać dobrą powieść biograficzną, niż zwykłą dobrą powieść. Powody? Bardzo proste: łatwiej jest stworzyć postać nową, fikcyjną, niż wczuć się w życie człowieka, który istniał naprawdę. W pierwszym wypadku główną rolę odgrywa niekrepowana niczem fantazja; w drugim stale i na każdym kroku kontrolowana ściśle myśl. Pozaatem: tworząc zwykłą postać powieściową — mowa tu o postaci głównej, centralnej — autor tworzy ją niejako na obraz i podobieństwo swoje; odtwarzając jednak postać autentyczną, autor musi upodobnić się do niej, dorosnąć do jej własnej wielkości, do jej indywidualnej potęgi. I biada wielkiemu pisarzowi, wielkiemu uczonemu, czy wielkiemu politykowi, jeśli dostanie się w ręce biografą, który do tej wielkości jego nie dorósł. Wtedy postać jego zmalaże, skurczy się, przestanie być sobą: będzie jedną z wielu postaci papierowych, z tą tylko różnicą, że poza nią, jak tajemnicze mane-tek-el-fares, stanie potężne widmo prawdziwego bohatera, którego wielkość jest czemś konkretnym, żywym i w świadomości naszej wciąż istniejącem.

Mikołaj Kopernik w „Kłosu Panny“ Morstina, to taki właśnie zdegradowany olbrzym. Ten człowiek, który miał w sobie kosmos, który istotnie zmienił porządek świata, który ludzkość całą zepchnął na inną płaszczyznę myślenia, zmieniając jej stosunek do tego, co najdalsze i do tego, co najbliższe, ten, który w swym praludzkiem niepokoju uciekał od gwiazd do... monet, i od monet do — malarstwa, jak wykazują najnowsze badania, staje się w powieści Morstina prostoprostem trupozem, manekinem, któremu autor każe wygłaszać od czasu do czasu jakąś sentencję, albo przenosić się z jednego miejsca na drugie. Gdzie jest jednak ta droga, którą podobnie jak Tycho Brahe w powieści Broda, kroczył Kopernik do prawdy, do siebie, do Boga? Gdzie są te huragany myśli, które musiały nim miotać, i te otchłanie wątpliń, w które musiał się staczać? Gdzie jest ten mozolny, krwawy trud wdrapywania się na wierzchołki wiedzy i mądrości? Postać Kopernika w powieści Morstina nie jest tworzona na nowo, lecz aplikowana, staje się nie przyczyną owej rewolucji w poglądzie na świat, lecz, na opak, niejako jej skutkiem: do jakiejś tezy, do jakiegoś dokumentu dorabia autor akcję i człowieka. I w tem tkwi kardynalny błąd tej książki.

Jedno jednak przynajmniej należy autorowi „Kłosu Panny“: w książce jego brak zupełnie tak rozpowszechnionego w dzisiejszej naszej literaturze powieściowej bluff'u, epatowania, nabierania. Jest to oczywiście, że tak powiem, zaleta tylko negatywna, ale w czasie nieomal ogólnego szalbierstwa literackiego i to coś znaczący...
A. P.

Maksym Gorkij: Życie Klimy Samgina Powieść, przekład Karoliny Beylin. Wyd. „Płomień“.

„Klim Samgin“ jest ostatnią powieścią wielkiego pisarza rosyjskiego. Gorkij kreśli w niej obraz społeczeństwa rosyjskiego ostatnich dziesiątków lat ubiegłego stulecia. Fotograficzne niemal odtworzenie prądów umysłowych społecznych i politycznych tej epoki, spleta się w tej książce z świetną psychologią skomplikowanych dusz młodzieży rosyjskiej tego okresu. Drobiazgowy realizm i szczegółowe odtwarzanie wypadków życia, że czytelnik przenosi się naprawdę w tamte czasy i tamtą atmosferę ludzi. W tle pierwszych drgań rewolucyjnych, literackich wpływów zachodnioeuropejskiego socjalizmu, nieustających dyskusyj i sporów między „Marksistami“ a „Ludowcami“ — sylwetka bohatera, przeciętnego i raczej niesympatycznego młodzieńca, który w życiu zmierzył tysiący ludzi tamtego okresu. „Klim Samgin“ jest książką, mogącą zainteresować tych, którym są bliskie dzieje naszego pokolenia.

Dodatek „Nadzwyczajny“ Br. Winawera. Bruno Winawer posiada zmysł rzeczywistości, a co za tem idzie, i nowoczesności. Rozumiejąc, że chęć informowania publiczności o najnowszych zdobyczach nauki i techniki w formie długich i suchych rozpraw równałaby się nowej donkiszoterji, stał się latającym reporterem, opowiadającym w stu wierszach, w których jest zawsze jedna prawda i sto raket dowcipu, to o rurce doktora Thomasa, to znów o klimacie prywatnym, czyli pogodzie na zamówienie, albo też o elektrycznym oku, które „czuwa po nocach, walczy z bandytami, ostrzega statki przed groźnemi lodowcami i widzi w najgłębszej mgle latarnie morskie”... Po słynnej już „Bocznej Antenie”, zawierającej dowcipną i przystępną interpretację teorii względności Einsteina, którą zachwycał się sam twórca tejże teorii, ukazał się ostatnio nakładem Biblioteki Groszowej nowy tom naukowej reporterki Winawera, p. t. „Dodatek Nadzwyczajny”. Niechaj ten isticie dziennikarski tytuł nie zadziwi nikogo. „Gdyby — powiada Winawer w przedmowie — Kopernik ogłosił dziś swe dzieło o obrotach ciał niebieskich, najzyczliwszy dziennikarz mógłby do suchej depeszy o tem odkryciu, dodać tylko nagłówek: „Astronomja potwierdziła teorie pijaków — ziemia się obraca!” Bo pod tym czysto dziennikarskim tytułem najnowszej książki Winawera kryje się istna kopalnia dowcipu, a przedewszystkiem — wiedzy. (p.)

Maksym Bontempelli, czyli „Syn dwu Matek“. Gdy duża ludzka stała się własnością tych wszystkich powieściopisarzy, którzy mają za sobą ponad 15 lat służby literackiej, młodym nie pozostało nic innego, jak szukać duszy tam, gdzie tamci jeszcze nie sięgnęli. (Dość zaznaczyć: kto nie płakał z Ramonem Gomez de la Serna nad losem nostalgicznych gazowych latarni, napewno nie ma serca!) Maksym Bontempelli, który w pierwszej młodości był bojownikiem nowego kierunku literackiego, pewnego pięknego dnia — i na złość krytykom, zarzucającym mu brak treści i „prawdziwych” postaci—przewędrował Medjolan od końca do końca, szperając... I nic! („Vita Intensa”).

Musiał pracować 3 lata, aby wyznac tę prawdę — i spostrzegł się wkońcu, iż napisał całkiem coś innego. („Vita Operosa”).

Kilka miesięcy temu, gdy A. G. Bragaglia obwieścił światu, że wyłowił w 6-jej księdze Arystotelesa wynalazek nowego „tapis roulant” (cudownego dywanu) i baterji elektryczno-słonecznej, Bontempelli, niby serjo, ogłosił ze swej strony: O, towarzysze pierwszej chwili! Rzecz, o której mowa, jest piękna i wyszukana. Z chwilą, gdy człowiek wyrósł ponad swoje człowieczeństwo, powiadam wam: nie ma już jednej matki, ma ich dwie. Dziecko rodzi się z dwu matek.

Wówczas poważni powieściopisarze zawołali chórem: to niemożliwe!

Jakgdyby możliwe było istnienie cukierkowego realizmu, studjum charakterów stałych i dających się określić na niezmiennej płaszczyźnie — i jakby możliwy był człowiek, widziany przez powieściopisarza naratora i psychologa z przekonania.

Powieść zaczyna się w stolicy świata, w Rzymie, około pierwszej popołudniu, dnia 7 maja roku 1900. Pewne małżeństwo z pośród niezliczonych mieszczańskich małżeństw świata, w dniu urodzin swego jedynaka, poszło go na spacer na Pincio. Tam, gdzie o zachodzie jest jeszcze gorąco, płomiennie i duszno.

Ni stąd ni zowąd, chłopiec oznajmia guwernantce, że chce wrócić do swego domu, przyczem wymienia zupełnie nieznaną ulicę. Tam, w obcym domu, rzuca się w objęcia nieznannej matki której równo 7 lat temu, w tym samym dniu, umarł chłopczyk, którego powrotu ciągle oczekiwała. Była bowiem naturą wyjątkowo egzaltowaną i złożoną.

To sytuacja początkowa.

Nudny, idjotyczny romans typu Bourget’a, Żeromskiego i Spółki międzynarodowej — tego zbiorowiska hysterji wszystkich krajów — stanął bezradny wobec tej sytuacji.

Wątek, intryga i akcja — to elementy tradycyjne; ponad tem istnieje życie nieświadome — rzut osobowości (w wiązce, czy też w promieniach pojedynczych?) na świat (który się porusza), jak chciałby dowieść autor.

Bontempelli w swoim „Synie dwu Matek” jest wielkim poetą irracjonalności. Wyczuwa nam, że w ten sposób postawił sprawę.

Czytelnik, w 90% wypadków, ma minę owego psychiatry, do którego „Syn dwu matek” siłą zaprowadził drugą matkę, tę duchową — psychiatry, i wpoił w nią poczucie rzeczywistości, wprowadzając ją z powrotem do życia.

Rzeczywistość! Jakgdyby ona naprawdę istniała!

Zrozumiała to również matka (cielesna), cierpiąca z powodu o

spazmatycznej miłości do tamtych obojga — i powoli zadawała się losom niekochanej samotnicy. Umiera ona w dniu, gdy uwierzyła w cud dwu matek.

Ale najpiękniejsze dzieje się potem!... Nie mam jednak obowiązku tego opowiadać. Niech każdy sam przeczytał... W przeciwnym razie wszyscy mówiliby o tem bez czytania książki.

Gdyby Bontempelli nie był wydał jej własnym nakładem, założyłbym się — przez zazdrość! — że nie znalazłby na nią wydawcy.

Maksym Bontempelli — syn dwu matek!

Ettore Settanni.

Superrealiści Jak wiadomo, jednym z najnowszych prądów w literaturze i sztuce jest tak zwany superrealizm, czyli nadrealizm. Niektórzy krytycy uważają swoiste ujmowanie wrażeń artystycznych przez jego zwolenników poprostu za holdowanie snobizmowi. Sąd ten jednak jest z gruntu fałszywy. Jak każdy bowiem kierunek, tak również i superrealizm zawiera w sobie elementy najzupełniejszej szczerości w wypowiedaniu się, a więc tem samem absolutnej niezależności od tego, co o nim myślą ci lub inni.

Zrozumiała jest jednak rzeczka, że każdy artysta jest indywidualnością odrębną, również więc i twórczość jego musi się odchyłać w mniejszym lub większym stopniu od twórczości innych artystów, choć należy wraz z nimi do tej samej grupy. Prawdziwa twórczość artystyczna nie znosi kanonów. Dyktatura jednostek w działalności artystycznej tej lub owej grupy jest niedopuszczalna.

Niedawne zebranie superrealistów francuskich, na którym narzucili właśnie swoją dyktaturę Breton i Aragon, wyłączając z grupy takich artystów, jak Artaud, Vitrac, Limbour, Soupault i Masson jest przedmiotem rozważań w ciekawym artykule o superrealistach, na łamach doskonale redagowanego pisma madryckiego „La Gaceta Literaria”. Autor artykułu, sam zwolennik superrealizmu, Sebastian Gasch, występując ostro przeciwko tego rodzaju dyktaturze, twierdzi, że silne indywidualności nie mogą zamknąć w ciasnych narzuconych ramach bogactwa własnej wyobraźni twórczej. Cóż z tego, że kubizm miał genialnego inicjatora w osobie Picasso, gdy tymczasem jego miernymi naśladowcami byli: Herbin, Gleizes, Metzinger, Severini i inni? Cóż z tego, że również genialnego inicjatora superrealizmu i jego właściwego poprzednika, Chirico, będą naśladowali jedynie: Savitry, Tanguy, Defize, Max Morise, Mesens, Pierre Roy i inni?

Naśladownictwo nie jest bynajmniej twórczością. Superrealistą prawdziwym jest Miró, gdyż indywidualność jego jest bardzo wybitna. Niewątpliwie będą o nim wszędzie i długo mówili, gdy tymczasem naśladowcy jego zgina śmiercią samobójczą, zabiciem w sobie właściwej twórczości. Zresztą, z drugiej strony, nic tak się nie sprzeciwia samej idei superrealizmu, jak pewien styl.

Do twórców superrealistycznych we właściwym tego słowa znaczeniu, poza Miró, autor artykułu zalicza René Magritte oraz Dali.

Gasch nie zapomina zwrócić uwagi, że sama tendencja lub sama teoria bez daru artystycznego nie wystarcza, aby dzieło sztuki, jako takie, miało wartość. Sam fakt należenia do danej grupy nie daje nikomu gwarancji genialności.

F. Baturewicz.

KSIĄŻKI NADESLANE.

POWIEŚĆ: André Maurois: Klimaty, przekł. W. Rogowicza. Warszawa, „Rój”, 1930, str. 237. — Salvador Gotta: Żona kochanka, przekł. J. Palmira, „Rój”, 1929, str. 226. — E. M. Remarque: Na Zachodzie bez zmian, przekł. S. Napierskiego, wyd. II. „Rój”, 1930; str. 220. — L. H. Morstin: Kłos Panny. Warszawa, 1929, F. Hoesick, str. 319.

WIERSZE: J. Sokolicz Wroczyński: Sny o Markizie. F. Hoesick, str. 84; Marja Morstin Górska: Krąg miłości. F. Hoesick, str. 58; Witold Zechenter: Ręka na sterze, F. Hoesick, 51; Poezje Artura Prędkiego. F. Hoesick, str. 35.

RÓŻNE: M. Kozłowski: Sprawa Harrimana. Głosy publiczne i dokumenty. Warszawa, 1929, str. 296. — A. Nowaczyński: Pamflety. Warszawa, F. Hoesick, 1930.

Nowaczyński: Wiosna narodów (w cichym zakątku). Komedja hist. w 4 aktach. Warszawa, F. Hoesick, str. 368.

OPRÓCZNI W N-rze 1.

1 od dołu: zamiast „tradycyjną humanitarną frazeologią”, powinno być: „humanitarnym frazesem”.

Wypisku — wiersz 2 od dołu: zamiast „Paul”, powinno być: „patrz”.

Wiersz 23 od dołu: zamiast „Fotomontaż wynalazkiem polskim” — wiersz 23 od dołu: zamiast „1923”.

„MEKO”

MEBLE KOLOROWE LAKIEROWANE SPOSOBEM AMERYKAŃSKIM

WYTWORNE — TANIE

TRWAŁE—PRAKTYCZNE

BARWA TO RADOŚĆ
I SZCZĘŚCIE W DOMU

WYGODA — CZYSTOŚĆ
PIĘKNO — NOWOCZESNOŚĆ

DUŻY WYBÓR

STOLIKÓW FOTELI SZAF BIUREK

SPFCJALNY DZIAŁ DLA SANATORJÓW I PENSJONATÓW

POKOJE DZIECIĘCE

DEKORACJA MIESZKAŃ

„MEKO” - W A R S Z A W A

UL. ŻÓRAWIA 24 a m. 3

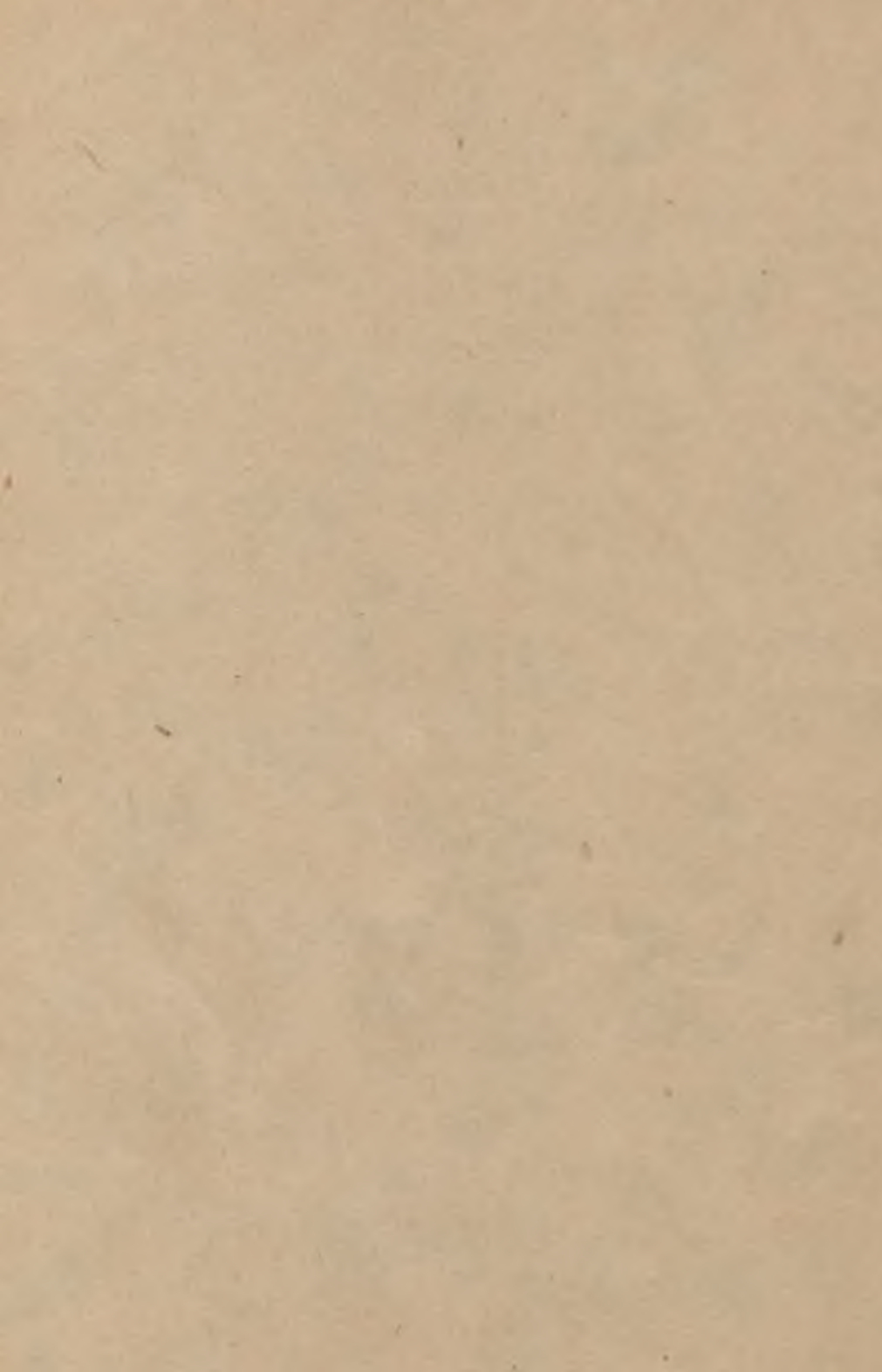
TELEFON 149-71



2566

II

ZASOP.



EUROPA

N^o 2

MIESIĘCZNIK

T
R
E
Ś
Ć
N
U
M
E
R
U

Paul Otlet: Osiedle Światowe
K. Irzykowski: Wieża Antibabel
Adam Pragier: Harriman w Polsce
St. Baczyński: Triumf zdrowego cynizmu
H. Zalszupin: Niepotrzebny romans
Roman Markuszewicz: „Na Zachodzie nic nowego“
Juljan Przybóś: Jedni — Zmęczeni

UWAGI:

Ankieta EUROPY: *K. Kobro-Strzemińska*, Theo van Doesburg
Artur Prędzki: Dwa oblicza: Pamflety A. Nowaczyńskiego
A. P.: „Kłos Panny“ *L. H. Morstina*
(n) Maksym Gorkij „Życie Klina Samgina“
(p) „Dodatek Nadzwyczajny“ *Br. Winawera*
Ettore Settanni: Maksym Bontempelli, czyli „Syn dwu Matek“
F. Baturewicz: Superrealiści
Książki

REDAKTOR I WYDAWCA:

STANISŁAW BACZYŃSKI

SEKRETARZ REDAKCJI:

H. ZAŁSZUPIN

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

WARSZAWA, ul. BAGATELA 10 m. 36

TELEFON 170-61, KONTO P. K. O. 19.600

TELEFON SEKRETARZA: 430-33

REDAKTOR PRZYJMUJE W SOBOTY OD GODZ. 15 — 16

Warunki prenumeraty:

ROCZNIE 20 zł. PÓLROCZNIE 10 zł.

Numer pojedynczy 2 zł.

W poprzednim (I) numerze „EUROPY“: *Stanisław Baczyński*: Odprężenie polityczne, *Karol Irzykowski*: Godność krytyki, *Jan N. Miller*: Od wolności do podporządkowania, *Artur Prędzki*: Romans nowoczesny, *Paul Dermée*: Literatura proletariacka, *Władysław Strzemiński*: Bilans modernizmu, *Stanisław Młodożeniec*: Południe, *Ettore Settanni*: Scena włoska. *Jan N. Miller*: O przedawnionych postaciach humoru, *H. Zalszupin*: Pieniądze a kultura, i in.

EUROPA

MIESIĘCZNIK

Nr. 2

15. X. 29. — 15. XI. 29.

PAUL OTLET

OSIEDLE ŚWIATOWE

Określmy z miejsca, o co chodzi. O narzędzie ogólne do skoordynowania ruchów i organizmów międzynarodowych. Syntetyczny, współczynny i atrakcyjny ośrodek pracy nad postępowaniem kultury i lepszą cywilizacją.

Tak określone Osiedle Światowe wydaje się nagłym zadaniem epoki. Epoka nasza bowiem jest bogata i biedna, inteligentna i bezmyślna, naznaczona pogardą godnym materializmem i wspaniałą ideowością zarazem; epoka nasza — to widowisko ogromnej fermentacji.

Oto rok 1914. Pełnia wakacyj. Przystępstwo polityczne w Serajewie. I jedno po drugim: wojna niszczycielska, przybycie dwu milionów amerykańskich żołnierzy. Bolszewizm, Niepodległość Polski, Liga Narodów, Międzynarodowe Biuro Pracy. Morderstwo w Serajewie, właściwie pozabawione głębszego znaczenia, odbija się echem — tu, aby zniszczyć — tam, aby wskrzesić — gdzieindziej, aby zbudować.

Po wojnie, opinia publiczna się rozdzieliła. Jedni dostrzegli w zdarzeniach z lat 1914 — 19 wypadki, fakty wyjątkowe, wspaniałe lub tragiczne, których serja jednak została zamknięta, by życie mogło toczyć się swym normalnym torem. Dla innych, przeciwnie, wydarzenia te stały się rewelacją nowego porządku rzeczy. Przeszedłszy kryzys bolesnego wzrostu, ludzkość stanęła wobec potrzeby przystosowania się do nowego życia, do życia światowego.

Życie to, składające się z rzeczy złożonych, współzależnych, w skrócie wyraża się liczbami: dwa miljardy ludzi, sześćdziesiąt państw zorganizowanych, może dwieście różnych narodowości, kolonialnych i innych, dwieście międzynarodowych trustów, czterysta stowarzyszeń międzynarodowych o celach światowych, Liga Narodów — wraz z oficjalnymi, podporządkowanymi jej organami, pięć wielkich wyznań religijnych.

Oto nasz ośrodek — i oto całości, które współlistnieć muszą nie tylko w pokoju, jako organizacji pierwszego stopnia — ale i w postępie, na tym drugim stopniu, w którym ludzkość, zdaje się, bardziej jest zainteresowana.

Co się zaś tyczy chaosu świata, weźmy — z braku statystyki, któraby się wyrażała w jakimś współczynniku zamętu — poprostu: w zakresie spraw zdrowotnych — niemoc wobec wielkich plag fizycznych i słaby wysiłek w kierunku eugenizmu; w dziedzinie ekonomicznej — ludzkość zgłodniała lub niedość odżywiana — a gdzieindziej: palenie zbiorów, które miliony bezrobotnych mogłyby transportować do miejsc dotkniętych potrzebą. W dziedzinie społecznej — wychodźstwo przymusowe z przeszkodami emigracyjnymi, przeżyte, przestarzałe pojmowanie sprawy kolonij, najlepsze ziemie leżące odłogiem — w chwili, gdy gdzieindziej ogromnym wysiłkiem zmierza się do osuszenia mórz. W dziedzinie umysłowej zaś — narzędzia typu bibliotek, muzeów, uniwersytetów, stowarzyszeń, kongresów — legaty innych czasów, istniejące obok siebie, prawie że bez związku, bedne, niewystarczające — w czasie gdy dyskusje, oraz programy cząstkowe i minimalne, dają obraz niemocy wobec wielkich zadań.

Owszem, możnaby zacząć reformę od dołu — i od dziesięciu lat próbuje się sił w tym kierunku. Ileż w tem jednak opieszałości, ile indywidualnych działań — ile niepewności co do tego, czy osiągnięte już wyniki będzie można kontynuować! Murarze wznoszą mur, burzyciele idą tuż za nimi — i perspektywa ukończenia jest iluzoryczna.

Powstawanie trustów, cechujące czynność ekonomiczną, w dziedzinie zaś politycznej — powstawanie federacji; standaryzacja i normalizacja w dziedzinie techniki — i racjonalizacja w dziedzinie intelektualnej — oto potężne a subtelne prądy, ożywiające społeczeństwa i świat naszych myśli. Nie pomniejszając nic z tego, co musi być indywidualne, lokalne, regionalne, narodowe, lub kontynentalne, trzeba wreszcie wspólnymi siłami stworzyć w świecie CENTRUM, z którego mogłyby wyjść plany, dyrektywy i hasła — wspólnie obmyślane. Liga Narodów jest jednym elementem całości — jest tylko unją rządów — jak elementem jest Międzynarodowe Biuro Pracy, ograniczone do przedstawicielstwa syndykatów pracodawców i pracowników. W Osiedlu Światowym, które powstałoby w Genewie na obszarze 500 do 1000 hektarów, w parku międzynarodowym — a byłoby ono eksterytorjalne, wszystkie zaś jego przywłaszczenia fizyczne znajdowałyby się pod nadzorem federacyjnej fundacji — utworzonoby ośrodki: ekonomiczny (Bank Międzynarodowy i międzynarodowe trusty), higieny społecznej i fizycznej kultury (Czerwony Krzyż, organizacje zdrowotne, międzynarodowe stowarzyszenia sportowe), intelektualny (Mundaneum).

Polska powinna przystąpić do Osiedla Światowego. Jej dzieje ostatnie charakteryzują się występowaniem silnych indywidualności, które jej przywróciły wolność. Z kolei nastąpił drugi etap: budowy, przynajmniej w zasadniczych linjach. Przyszłe dziesięciolecie obciąży Polskę zadaniami jej wobec świata. Pożyczając od świata, powinna Polska czerpać z tego, co jest najlepsze w narodach — i znaleźć tyle sił, by przyswoić sobie tę użyteczną, płodną różnorodność — nie biorąc sobie za wzór żadnego poszczególnego narodu, którego stałaby się odbiciem, imitacją. Celem jej ma być wymiana — DO UT DES (daję abyś dał). Polska będzie pożyczala, ale będzie musiała sama dać, wypożyczyć. Przez sam fakt zaś, że się spóźniła, że w roku 1919 ten młody, choć dawny naród nie przyszedł do głtowego — przeciwnie, musiał zbudować swój dom, gdyż przedzoboro-

wy nie odpowiadał potrzebom — Polska jest giętkiem narzędziem, bardziej dostępnym dla nowej rzeczywistości, niż niejeden naród potężny i mający ciągłość tradycji, ale też niełatwo przyjmujący nowe wpływy z zewnątrz. Oby polskie siły umysłowe i kierownicze energicznie zwróciły się na zewnątrz i — nie tracąc nic z cech indywidualnych, z siły narodowej — wzniosły się do wysokości sił międzynarodowych! Oby Polska stała się czynnikiem aktywnym — DO UT DES — Osiedla Światowego! *)

K. IRZYKOWSKI

WIEŻA ANTIBABEL

Założenie Osiedla Światowego w Genewie z pewnością leży na linii rozwoju współczesnych stosunków i należy do tych tendencji dziejowych, które warto kultywować, — bo są jeszcze takie, które trzeba tłumić i tępić.

Międzynarodowość warta jest akuratnie tyle, ile jest warte wszelkie porozumienie, jasność, prawda. Gdy z pośród dwunastu zainteresowanych przynajmniej dziesięciu zasiądzie razem przy jednym stole debat, jest szansa, że przynajmniej ci wzajemnie będą sobie patrzyli na palce, i prawda automatycznie się wyłoni.

Ale międzynarodowość sama przez się nie jest żadnym panaceum. Oczywiście, — wszystkie sprawy, które nadają się do umiędzynarodowienia, niech będą umiędzynarodowione: pieniądze, praca, nauka, wychowanie, higiena, nawet sport. Wieżą Babel było zawsze rozproszenie, a nie skupienie wysiłków. Clearing, polegający na tem, że gdy w jednym miejscu czegoś brakuje, w innym nie powinno być tego czegoś za dużo, — jest możliwy i niezbędny.

Ale absolutny pożytek dla ludzkości nie jest jeszcze przez to wszystko zagwarantowany. Chodzi o to, co się umiędzynarodawia. Międzynarodowość jest obojętnem samo w sobie i obosiecznym narzędziem, które w pewnych mniej udoskonalonych formach istniało zawsze. Najczęściej jako consensus omnium stultorum. I wojna światowa była przecież także zjawiskiem międzynarodowym. A wojna z pewnością w ostatecznym wyniku tak samo zbliżyła narody jak sport. Czy przeto wojna ma zostać instytucją stałą?

Międzynarodowość skoncentrowana w Osiedlu Światowym, da pewną ilość nowych możliwości i ułatwień kulturalnych, które powinny być odpowiednio zapłodnione, wyzyskane.

*) Paul Otlet, autor niniejszego artykułu, głośny organizator międzynarodowej współpracy intelektualnej i założyciel „Mundaneum”, instytucji służącej tym celom, odwiedził w tych dniach Polskę, jako gość Rządu Polskiego. Redakcja „Europy” ma nadzieję, że przy najbliższej sposobności zapozna swych czytelników bliżej z ideą p. Otlet na tle obecnego życia międzynarodowego. Dla poruszenia zaś samej kwestji na gruncie polskim zamieszczamy artykuł K. Irzykowskiego, o temacie zbliżonym.

Otóż korektywem do poczynań Osiedla Światowego, a przynajmniej jednym z pierwszych jego przedsięwzięć, powinien być

KONGRES INTELEKTUALISTÓW,

w którym wzięliby udział uczeni i literaci całego świata. Wykluczeni byłiby jednak czynni politycy, jako ludzie, którzy mając codziennie do czynienia z rozstrzygnięciami praktycznymi, zatracili pietyzm i skrupuły wobec rzeczywistości i przesiąkli pewnego rodzaju cynizmem i powierzchownością.

Jeżeli się zwołuje najświatlejsze głowy globu, to chyba nie dla bagateli, nie dla żadnej specjalnej sprawy bezpośrednio praktycznej. Jeżeli uczestnicy obrad kongresu, filozofowie, ekonomiści, psychologowie, historycy, socjologowie, teologowie, powieściopisarze, publicyści i t. d., wyzbęda się wstydu i obaw przed łatwym ośmieszeniem się w oczach wykształconego motłochu, to obiorą sobie dla obrad temat jak najogólniejszy, „banalny“, zaczerpnięty z dziedziny utopji, a mianowicie dawać będą odpowiedzi na pytanie:

DLACZEGO JEST TAK ŹŁE, KIEDY WSZYSCY CHCĄ DOBRZE,

ze szczególnem uwzględnieniem:

- 1) sprawy powszechnego pokoju,
- 2) sprawy socjalnej.

Wprawdzie należy przypuszczać, że to pytanie jest właściwie nieustannym immanentnym motywem ich całej twórczości naukowej, publicystycznej, artystycznej, której poszczególne dzieła można sobie pomysleć jako etapy czy epizody pewnego całości kształtu, którego celem wspólnym jest dobro całej ludzkości. Ludzie ci nie potrzebują sobie tego nawet za każdym razem uświadamiać; mechanizm kulturalny ich pracy jest już sam przez się tego rodzaju, że ją około tego celu grupuje i ten cel podsuwa lub narzuca. Ale w ogromie celów częściowych zatracą się cel główny, wielkie zdobycze taktyczne mącą ogólny plan strategiczny. Prawda, że i ów plan dopiero razem z niemi powoli narasta, uświadamia się, — zachodzi tu swoiste „hysteron proteron“.

Raz przecież można sobie pozwolić na sprawdzenie wspólne wyników dotychczasowych i na próbę, czy już dziś one w jakiś sposób skoordynować i zastosować się dadzą. Obrady kongresu będą wielką ankietą, w której wszystkie zdobycze umysłu ludzkiego przejdą pod jarzmem owego banalnego a dręczącego ludzkość pytania. Uczestnicy kongresu zgodzą się na takie zwężenie czy strywializowanie swej wiedzy o świecie i człowieku. Ale z drugiej strony ta wiedza będzie musiała złożyć egzamin i niewątpliwie dane zostaną odpowiedzi głębokie, pouczające, wszechstronne, trafiające w sedno rzeczy, pesymistyczne i optymistyczne, stare i nowe, a może niejednen z uczestników dopiero w zetknięciu z owem obcesowem pytaniem, ku własnemu zdziwieniu wydobędzie ze swej wiedzy wskazówki i rozjaśnienia, jakich się sam nie spodziewał. Trzeba, żeby wszyscy pokazali swoje rezerwy.

Na czas kongresu chroniczny stan przesilenia w społeczności ludzkiej uznaje się za ostry; kwestję socjalną i kwestję pokoju stawia się pod alarm, wieszka się je u wielkiego dzwonu; intelektualiści mają zachować się tak, jakby się zachowali astronomowie, fizycy, inżynierowie w chwili,

kiedyby dostrzeżono oznaki, że księżyc wyruszony ze swej orbity zaczyna spadać na ziemię.

Nawet gdyby kongres intelektualistów do „pozytywnych wyników“ nie doszedł, — a już sama jego natura wyklucza „wyniki pozytywne“ w znaczeniu zwykłym, — nawet jego wyniki „negatywne“ będą symptomatyczne, a sam fakt jego zebrania się będzie precedensem na przyszłość. Z pośród setek kongresów, które się corocznie odbywają, z pewnością nie będzie to kongres najbezużyteczniejszy.

Kongres wyłoni z siebie stałą instytucję, trybunał intelektualny ludzkości, który wykonywać będzie nieobowiązującą krytykę i kontrolę nad działalnością Ligi Narodów i innych międzynarodowych instytucji.

Projekt ten można załatwić w różne sposoby:

- 1) Albo go wyśmiać, uznać za niepotrzebny, ponieważ to wszystko, czego projekt chce, niby i tak się już dzieje na raty.
- 2) Albo wogóle go zignorować i zlekceważyć.
- 3) Powiedzieć, że trzeba odłożyć go na przyszłość o wiele dalszą.
- 4) Przyznać mu rację bytu, ale wykazywać niemożność zrealizowania.
- 5) Uznać jego potrzebę, ale postępować tak, aby ostatecznie nie przyszedł do skutku.
- 6) Poprzeć go otwarcie i szczerze, rzucając na szalę cały zapas swej woli i wiedzy,

Autor projektu, stawiając go, nie szuka w tem osobistej sławy, — przeciwnie, ryzykuje śmieszność; chodzi mu o rzecz samą, i gotów jest później wskazać mężów i doktryny, które go inspirowały i których czuje się niejako wykonawcą.

OD REDAKCJI

Wszystkie pokrewne pisma Polski i Europy uprasza się o ogłoszenie powyższego projektu, a uczonych, publicystów i literatów wzywa się, aby zabierali głos w sprawie samej idei projektu i możliwości zrealizowania go.

AD
A
M PRAGIER

HARRIMAN W POLSCE

Okres powojenny spowodował wzmożenie się napięcia ekspansji kapitalistycznej i stworzył nanowo warunki, przypominające poniekąd miniony już okres akumulacji pierwotnej. Z jednej strony — spustoszona Europa i zniszczona Rosja, z drugiej — przesycona kapitałem ruchomym i pełna inicjatywy gospodarczej Ameryka — oto bieguny tego napięcia. Na wyjąłowych pobjawiskach Europy, młody kapitalizm Ameryki podejmuje próbę nowej ekspansji, tem łatwiejszą, że bez konkurencji. Tu właśnie zdaje się tkwić podobieństwo do okresu akumulacji pierwotnej,

gdzie również pierwsze skupienie kapitału dawało możność korzystania — obok zwykłych zysków — z wyjątkowej premji. Dziś premja ta dostaje się w ręce kapitału amerykańskiego przez sam fakt zubożenia Europy — a dodatkowo niejako przejawia się paradoks, że to przecie najmłodszy twór kapitalistyczny dokonywa tej nowej akumulacji „pierwotnej” na terenie kapitalizmu najstarszego. Możliwy tu też bez wielkiej przesady mówić jakgdyby o finansowej „kolonizacji” Europy przez Amerykę, czy nawet o zwierzchności feudalnej finansów amerykańskich nad europejskimi.

Penetracja obcego kapitału do kraju odbywa się, biorąc najogólniej, w trzech formach: w formie operacyj kredytowych, w formie zakupu pakietów akcji, oraz innego uzyskiwania wpływów na przedsiębiorstwa krajowe — i wreszcie: w formie nabywania koncesyj na samodzielne eksploatowanie różnych dziedzin gospodarstwa krajowego. Pierwsza z tych form — udzielanie kredytu państwu, samorządom oraz przedsiębiorstwom krajowym, nie bywa nawet nieraz „penetracją” w ścisłym znaczeniu tego słowa. Obcy kapitał poprzestaje na korzystnym oprocentowaniu i nie rości sobie pretensyj do aktywnej roli w kierownictwie życia gospodarczego kraju. Gospodarstwo zaś i finanse krajowe odnoszą z zasilenia obcym kapitałem znaczne korzyści, bez utraty własnej niezależności. Niestety, ta forma udziału obcego kapitału w życiu kraju jest tem trudniejsza do osiągnięcia, im własne siły gospodarcze są mniejsze. Kraje niezasobne, „nie budzące zaufania”, uzyskują kredyty dla przedsiębiorstw gospodarczych zazwyczaj tylko z gwarancją rządową, co uzależnia te przedsiębiorstwa od rządu. Rządy zaś takich krajów uzyskują kredyty tylko pod zastaw obiektów majątkowych i źródeł dochodowych, albo nawet wyznacza się dla takich krajów kuratorów, którzy w imieniu wierzycieli wykonywują nadzór nad gospodarstwem. W taki właśnie sposób dochód z polskiego monopolu tytoniowego, oraz dochód z ceł, służy na zabezpieczenie kredytów; w taki sposób nasz monopol zapałczany dostał się w obcą dzierżawę; w taki wreszcie sposób znalazł się w Polsce „doradca” amerykański, wywierający w interesie swych mocodawców wpływ na nasze finanse i gospodarstwo.

Druża forma penetracji obcego kapitału — wykupywanie przedsiębiorstw przemysłowych i „kontrola” instytucyj finansowych — przedstawia zawsze znaczne wątpliwości. W okresie powojennym, tylko kraje t. zw. neutralne zdołały się uchronić przed tym darem Danaów. W innych krajach powstał problem zachowania we własnym ręku poważniejszych przynajmniej działów gospodarstwa. W Polsce decydujący udział obcego kapitału w przemyśle, handlu i finansach nie jest niczem nowem i nie jest też uważany za problem „powojenny”. Ale i w Polsce zwrócono uwagę na szczególnie jaskrawą formę opanowania produkcji i zbytu cynku... przez Harrimana.

Trzecia wreszcie forma tej obcej penetracji, forma najwyraźniej „kolonizatorska” czy „feudalna”, to uzyskiwanie koncesyj eksploatacyjnych przez kapitał obcy. W tym wypadku kapitał obcy nie służy już gospodarstwu krajowemu i nie współdziała z niem, jak w formach poprzednich, lecz działa całkiem samodzielnie i nieograniczenie. Tutaj niema już inicjatywy gospodarczej krajowej. Bogactwo kraju staje się tylko podłożem dla

ekspansji kapitału obcego. Dotąd, w Europie, tylko Rosja sowiecka widziała się zmuszona przyjąć w tej formie, w szerszym zakresie, obcą pomoc. Niedawno atoli zdarzyło mi się czytać w wywiadzie profesora Krzyżanowskiego, którego zdanie cenię w wielu sprawach nie mających blizkiego związku z praktyczną polityką gospodarczą, że spodziewa się on znacznych korzyści dla Polski z tej formy penetracji obcego kapitału.

Opinia publiczna w Polsce została niedawno zaniepokojona zapowiedzią przyznania firmie amerykańskiej W. A. Harriman and Company Inc. koncesji na elektryfikację znacznej części kraju. Zaniepokojenie to wyraziło się z rzadko spotykaną zgodnością w całej niezależnej od rządu prasie — a nawet w niektórych pismach rządowych, nadto zaś — podczas wszystkich rozpraw wojewódzkich, oraz w oświadczeniach niektórych organizacji gospodarczych. Ten objaw czujności na niebezpieczeństwo grożące w dziedzinie gospodarczej poczytuję za zjawisko niewątpliwie dodatnie, zaniepokojenie zaś za całkiem uzasadnione.

Snać i samemu rządowi wydało się ono dość poważne, gdyż Minister Robót Publicznych p. Moraczewski ogłosił w „Kurjerze Porannym” wywiad, w którym podnosił korzyści tej koncesji — i usiłował rozproszyć obawy. W szczególności podkreślał p. Moraczewski, że uprawnienie, dane Harrimanowi, „oparte będzie na zwykłym formularzu, obecnie od końca r. 1927 używanym przez M. R. P. przy udzielaniu uprawnień elektrycznych”, że „rozmiar i sposób elektryfikacji będzie ściśle odpowiadał programowi, opracowanemu w M. R. P.” — i wreszcie, że taryfy za prąd będą niższe od taryf obowiązujących dotąd.

Nasuwa mi się tu uwaga, że Minister Robót Publicznych uważa zapewne wywiad prasowy za formę właściwą do ogłaszania wiadomości, pozostających w luźnym tylko związku z istotnym stanem rzeczy. Wystarczy przyrzeć się głównym postanowieniom projektowanej umowy, aby nabrać tego przeświadczenia.

Wyjątkowość koncesji Harrimana polega już na samej tej okoliczności, że koncesjonariusz ten — jedyny w Polsce — ma otrzymać uprawnienie wytwarzania i rozdzielania energii elektrycznej na obszarze 6 województw, na których znajdują się wszystkie złoża węglowe. Województwa te stanowią około 22% obszaru całego Państwa. Życie ich gospodarcze jest najintensywniej rozwinięte, ludność zaś stanowi około 34% ludności całego Państwa. Coprawda, istniejące dotąd na tym obszarze koncesje pozostać mają nadal, ale już sam fakt zatamowania ich dalszego rozwoju terytorjalnego musi w niedalekim czasie uzależnić istniejące elektrownie od Harrimana — jemu zaś zapewnić bezsporne stanowisko szafarza energii elektrycznej na całym obszarze jego koncesji. Okoliczność, że umowę z Harrimanem zamierza p. Moraczewski spisać na takim samym urzędowym „druczku”, jakich używa dla innych koncesyj, nic a nic w tem nie zmienia.

Ale i poszczególne warunki tego uprawnienia nie są wcale zwykłe. Termin koncesji wynosić ma lat 60; na tak długie terminy nie nadano innych koncesyj ciepłych. Usprawiedliwia się ten długi wyjątkowo termin wielkością obszaru, objętego przez Harrimana; w istocie wynika on jednak

ze szczupłości kapitału, który Harriman zamierza inwestować — i z wolnego tempa inwestycji. Okres amortyzacji określono dla Harrimana na lat 60 dla urządzeń wodno-elektrycznych i na 30 lat dla innych urządzeń. Zazwyczaj określa się okres amortyzacji dla elektrowni ciepłych na lat 15 — 18, dla wodnych — na lat 30 najwyżej. Stwarza to dla Harrimana oczywisty przywilej, ale obciąża Państwo na wypadek przedterminowego wykupu. W razie uchybienia warunkom koncesji, może ją Minister Robót Publicznych zazwyczaj koncesjonariuszowi odebrać. Harriman i w tym względzie traktowany jest wyjątkowo, może bowiem być pozbawiony koncesji tylko w drodze sądowej — a nawet w takim wypadku może nadal wykonywać swoje czynności, tylko że bez prawa wyłączności. Nadto, w kwestjach technicznych, taryfowych, oszacowania majątku i określenia ceny wykupu, droga sądowa rozstrzygnięcia sporu jest wyraźnie wyłączona; spory takie mają być rozstrzygane przez komisję rozjemczą, w której rząd i Harriman mają po jednym przedstawicielu.

Celem eksploatacji Zakładu Elektrycznego ma Harriman powołać do życia „Polską Spółkę” i przenieść na nią swoją koncesję w ciągu roku od jej uzyskania. Okoliczności dotyczące tej „Polskiej Spółki” — a w szczególności wysokość jej kapitału, oraz pochodzenie tego kapitału — nie są dziś wcale jeszcze znane. Wynika stąd, że „Harriman” jest właściwie znakiem algebraicznym, za którym ukrywa się... niewiadomo co. Wnosić można wszelako z dotychczasowych stosunków Harrimana, łączących go z niektórymi koncernami niemieckimi, że w owej „Polskiej Spółce” będą — obok amerykańskich — reprezentowane wpływy niemieckie. I inne zresztą postanowienia otwierają drogę do zawładnięcia koncesją Harrimana przez czynniki zgoła nieznanne, poza wszelkim wpływem rządu polskiego. Oto Harriman ma prawo obciążać majątek swego przedsiębiorstwa do 75% niezamortyzowanej wartości, bez zezwolenia M. R. P. Postanowienie to — nie istniejące w innych koncesjach — daje możliwość uzyskania decydującego wpływu na koncesję Harrimana, a przez nią na gospodarstwo polskie, każdej grupie kapitalistów, z którąby Harrimanowi spodobalo się kiedyś związać — bez zrzeczenia się dobrodziejstw, płynących w wyjątkowej koncesji. Wreszcie — rząd zgodził się na przekazanie koncesji, udzielonej Harrimanowi, każdemu nabywcy Zakładów Elektrycznych w drodze sprzedaży przymusowej z wyroku sądowego. Wystarczy przeto umiejętne przygotowanie upadłości w porozumieniu z domniemanym nowonabywcą, aby koncesja Harrimana przeszła w inne ręce, całkiem niezależnie od wpływu rządu polskiego.

A cóż wzamian za te zgoła niezwykle przywileje daje ze swej strony Harriman? Oto ma on zbudować w ciągu pierwszego pięciolecia elektrownię wodną na Dunajcu o mocy conajmniej 40.000 HP, elektrownię ciepłą w Zagłębiu Krakowskim lub Dąbrowskim, o wydajności nie mniejszej, niż 30.000 kw., ma połączyć ze sobą te elektrownie przewodami o napięciu conajmniej 100.000 V. — i ma urządzić sieci rozdzielcze w miastach o ludności nie mniejszej, niż 5.000 mieszkańców. W następnym pięcioleciu — ma rozszerzyć elektrownię wodną do mocy 90.000 HP., oraz odpowiednio rozszerzyć elektrownię ciepłą, doprowadzić przewody o wysokim napięciu do długości 750 km., oraz zelektryfikować miasta o ludności conajmniej 3.000 mieszkańców. Podczas pozostałych 50 lat trwania koncesji — Har-

riman ma swoje urządzenia odpowiednio rozszerzać. Dodać trzeba, że tylko do zbudowania elektrowni wodnej jest Harriman bezwzględnie zobowiązany. Zamiast zbudowania elektrowni ciepłej zaś może wyzyskać rezerwy już istniejących elektrowni, przeprowadzając odpowiednie przewody zbiorcze. Rzecz znamienna, że nie określono nawet wielkości tych rezerw, których wyzyskanie zwalnia Harrimana od budowy nowej elektrowni ciepłej.

Może zresztą Harriman nabywać także energję elektryczną z jakichkolwiek innych, już istniejących, elektrowni — bądź na obszarze swojej koncesji, bądź na granicy tego obszaru. Ze zaś istniejące elektrownie nie będą miały, od chwili udzielenia koncesji Harrimanowi, możliwości terytorjalnego rozszerzenia swojej działalności, stanie się Harriman jedynym ich odbiorcą, — i wykorzystywać będzie ten swój monopol nieomal, że bez wkładu nowego kapitału. Słusznie zwrócono też uwagę, że tym sposobem elektrownia w Chorzowie, należąca do niemieckiego koncernu A. E. G. i znajdująca się na samej granicy Państwa, będzie mogła rozszerzyć swoją działalność na obszar koncesji Harrimana, co nasuwa znaczne wątpliwości z punktu widzenia obrony Państwa.

Rzeczywisty rozmiar inwestycji Harrimana określają jednak najlepiej postanowienia, dotyczące wkładów pieniężnych, których Harriman ma dokonać. Otóż, wkłady te mają wynosić w pierwszym pięcioleciu — nie więcej niż 15 milionów dolarów, w drugim pięcioleciu — nie więcej niż 10 milionów dolarów, w ciągu zaś pozostałych 50 lat — nie więcej niż 1.5 miliona dolarów rocznie — czyli razem 100 milionów dolarów. Wyraźnie zastrzeżono przytem, że w razie, gdyby inwestycje w jakimś okresie były wyższe, niż przewidziano, nadwyżka ta zostanie zaliczona na poczet inwestycji za okres następny. Podnieść trzeba tedy, że sumy powyższe stanowią maksymalną granicę inwestycji Harrimana, granica minimalna zaś wogóle nie jest określona. O ile Harriman szybko zdołałby zorganizować wykorzystanie rezerw istniejących elektrowni, inwestycja kapitału mogłaby być nawet znacznie niższa od przewidzianej granicy maksymalnej. Wreszcie trzeba stwierdzić, że suma 100 milionów dolarów w żadnym wypadku nie jest w całości inwestycją kapitału w ścisłym znaczeniu. Po upływie bowiem pierwszego dziesięciolecia, wkłady coroczne mają wynosić conajwyżej 1.5 miliona dolarów — to znaczy: będą mogły być pokrywane z zysków bieżących. Istotna inwestycja — i to w ciągu 10 lat — stanowić ma conajwyżej 25 milionów dolarów, a w rzeczywistości może być też o wiele mniejsza.

Oto jest cena, za którą rząd chce dać monopol władania energją elektryczną na najważniejszych obszarach Polski Harrimanowi — a raczej tym, którzy się za tym algebraicznym znakiem kryją!

Nawiasowo wspomnę, że określanie wysokości opłat za korzystanie z energii elektrycznej na okres lat 60 jest zjawiskiem zgoła bezprzykładnem. Stawki maksymalne opłat mają coprawda ulegać zmianom w miarę zmiany cen węgla i robocizny, ale nikt nie może dziś przecież przewidzieć, jakie inne jeszcze czynniki, w tak długim okresie, wpływać mogą na koszt własnej produkcji.

W sprawie tej Rząd nie będzie miał głosu decydującego, gdyż rewizja

sposobu określania zmienności opłat będzie mogła być dokonywana tylko w porozumieniu z Harrimanem lub w drodze rozjemstwa.

Jednomyślnie niemal potępiono zamiar udzielenia Harrimanowi koncesji, na warunkach, które w głównych zarysach przytoczyłem powyżej. Czy ma to znaczyć, że trzeba zarzucić wszelką myśl o planowej elektryfikacji kraju i pozostawić sprawę w dotychczasowym stanie bezładu i przypadkowości? Bynajmniej. Rozumiem dobrze, że nie tylko Harriman, ale każdy kto się pokusić zechce o elektryfikację tak wielkich obszarów, będzie musiał zwalczyć opór konkurencji: istniejących już elektrowni oraz przemysłu maszynowo - elektrotechnicznego. Stąd też nie wszystkie argumenty przytaczane przeciw Harrimanowi są bezinteresowne i nie wszystkie przekonywujące. To jednak, co koncesję Harrimana czyni niebezpieczną — monopol dyspozycji energii elektrycznej na wielkim obszarze, przewaga nad istniejącymi elektrowniami, mały wkład kapitału, długi okres inwestycji — to traci swoje ujemne cechy, gdy się pomyśli o wykonaniu na tych samych co Harriman zasadach planu elektryfikacji — bez Harrimana. Nie jest to wcale niepodobieństwem nawet w naszych warunkach. Już dziś przecie inwestycje elektryfikacyjne w Polsce wynoszą co roku więcej, niż zamierza inwestować Harriman w pierwszym pięcioleciu wykonywania swej koncesji.

Należałoby przystąpić prosto do zorganizowania spółki akcyjnej przy udziale Państwa, samorządów oraz zainteresowanych sfer gospodarczych, z kapitałem choćby nieznacznym, lecz z zapewnioną możliwością corocznych inwestycji, w wysokości conajmniej takiej, jaką przewiduje koncesja Harrimana. Ostatecznie sumę 22¼ milj. złotych można pomieścić w budżecie Państwa i związków komunalnych. Gdyby p. Moraczewski miał pod tym względem wątpliwości, uspokoi go niewątpliwie Minister Spraw Wojskowych, marsz. Piłsudski, gdy mu powie, że sumka ta wynosi nie więcej, niż 9 dni budżetu wojskowego... Można zresztą bez skrupułu przyjąć i pomoc obcego kapitału, lecz tylko w formie kredytu (choćby towarowego), i kredyt taki znalazłby się niewątpliwie dla dopełnienia własnego wysiłku.

Wygląda to doprawdy niewiarygodnie, że p. Moraczewski, który tak niedawno jeszcze próbował stworzyć coś w rodzaju teorii etatyzmu, w praktyce pragnie oddać monopol energii elektrycznej w ręce prywatnego przedsiębiorcy, którego plany polityczno - gospodarcze są mu zgoła nieznane i mogą być wprost sprzeczne z zamiarami rządu. Wygląda niewiarygodnie, że niedawny wyznawca teorii samostarczalności, który w imię tej zasady sprzeciwiał się nawet zaciągnięciu pożyczki zagranicznej, pragnie dziś oddać ten monopol kapitałowi obcemu, którego pochodzenie nie jest mu zgoła znane. A jakże wygląda istotna siła tego „silnego rządu”, który nie umie uchronić gospodarstwa polskiego od zuchwałego zamachu na jego niezależność ze strony najgroźniejszych konkurentów?

TRIUMF ZDROWEGO CYNIZMU

STANISŁAW
BACZYŃSKI

1.

Nauka ogranicza się do faktu, opisu i wyjaśniania przyczyn, a w końcu do formułowania praw rządzących zjawiskami, — czyli szuka najbardziej stałych i niezmiennych podstaw poznania świata. Im formuła jest bardziej niewzruszona, tem treść jej daje przesłankę do ściślejszych wniosków i dalszych metodycznych założeń. Celem nauki jest poznanie prawdy (w znaczeniu wyjaśniania przyczyn i praw rządzących faktami), ocena jednak zjawisk i rezultatów pracy ludzkiej ze stanowiska dynamicznego, t. j. woli, wrażliwości zmysłów oraz wyobraźni, należy do KRYTYKI. Nauka odpowiada na pytanie: jak jest i dlaczego? — krytyka zaś: jaką coś ma wartość? Krytyka więc (nawet naukowa, epistemologiczna), jest wartościowaniem, oceną zjawisk w ich stosunku do człowieka. Jako taka, różni się od nauki w celu i metodach, gdyż poza zmysłowem poznaniem i analizą rozumową, opiera się na różnorodnej, splecionej treści emocjonalnych, nerwowych i uczuciowych przeżyć człowieka. Nauka dąży do idealnego obiektywizmu — krytyka, już w założeniu swoim, jest SUBJEKTYWNA i zmierza do doskonałego SUBJEKTYWIZMU. Granice między faktem a wartością wypełniłyby się wówczas dopiero, gdyby uznano RÓWNOWARTOŚĆ POZNANIA i OCENY. Łączona z pojęciem subiektywizmu niechęć przestałaby wtedy straszyć przeczulonych zwolenników obiektywnej prawdy, usiłujących wtłoczyć w ramy krytyki, zapożyczone od nauk ścisłych metody.

Metody krytyki są tak różnorodne i dynamiczne, jak samo życie, co stanowi właśnie jej zasadniczą wartość, gdyż właściwością jej jest MAKSYMALNY SUBJEKTYWIZM. Maksymalny jednak tak w natężeniu, jak w kompetencjach, skutkiem czego odpowiedzialność krytyka i jego wysiłek jest stokroć większy, niż odpowiedzialność i wysiłek uczonego. Uczony może się mylić, krytykowi omyłek nie wybaczymy. SĄD NAUKOWY, PRAWDZIWY LUB FAŁSZYWY MOŻE BYĆ NAPRAWIONY; SĄD KRYTYCZNY, TRAFIAJĄCY W ŻYWE CIAŁO CZŁOWIEKA I SPOŁECZEŃSTWA, RAZ WYGŁOSZONY, MOŻE WYWOŁAĆ NIEOBLICZALNE SKUTKI, gdyż sugestjonuje umysły środowiska, zaraża je i posiada swe indywidualne życie, wzrost i konsekwencje; dlatego żądamy od krytyki, poza wiedzą i wrażliwością, jeszcze — SUMIENIA.

Sprawa sumienia, o której poważnie pierwszy bodaj pisał Holzapfel w „Panideale”, a później narzucał ją literaturze Stanisław Brzozowski, jest tylko zagadnieniem etyki krytyka i jego poczucia odpowiedzialności za wygłaszane sądy; niema ona nic wspólnego z obiektywizmem, bezstronnością i t. p., gdyż żądając od krytyka maksymalnego subiektywizmu, nie możemy mu narzucać formuł postępowania, ani szablonowych zasad etycznych. Jest on indywidualnością, mającą prawo sądu

w imię swych właściwości psychicznych, indywidualnością niezależną od reguł — stwarzającą natomiast reguły. Etyka jego) zależy całkowicie od wrażliwości zmysłów, wyobraźni i smaku. Nieetyczny — zasadniczo — byłby więc krytyk, który przystępuje do pracy bez pełnych kompetencji i zdolności emocjonalnych do odczuwania sztuki, reagowania na jej przejawy. Nie wystarczy bowiem do prawa sądu tylko umiejętność logicznego myślenia, intelektualizm — trzeba mieć wrażliwość. **KRYTYK BEZ WRAŻLIWOŚCI JEST KRYTYKIEM BEZ SUMIENIA.**

Mimo pozorów paradoksalności, ów subiektywizm indywidualny stanowi społeczną wartość krytyki, jej twórczy przejaw. Krytyk bezstronny, „obiektywny”, ideał autorów, byłby istotą nawskroś bezbarwną, pozbawioną jakiegokolwiek emocjonalnej dynamiki, automatem do wytwarzania sądów nie podlegałby sam ocenie, jak wyrocznia. Prowadziłoby to do absurdu.

Bogactwo indywidualne krytyki jest bogactwem literatury. Dzięki niemu możliwy jest ów wielokierunkowy i wielopostaciowy rozwój myśli krytycznej od 18 w. począwszy, który stworzył styl klasyczny, romantyzm, pozytywizm, symbolizm, secesję i dzisiejszy modernizm, przy całym szeregu metod, zależnych od upodobań, prądów i umysłowości epoki. Metod zaś tych, notowanych w dziejach literatury, istnieje tyle prawie, ile wybitnych indywidualności krytycznych. Była, że nie sięgnę dalej, krytyka opisowa, portretów (Sainte-Beuve, L. Siemieński...), porównawcza, moralizatorska i dogmatyczna (D. Nisard), apostołująca (G. Planche, S. de Sacy), filozoficzna (Schelling, Mochnacki), pozytywistyczno-naukowa (Taine, Chmielowski), sceptyczna (Renan, Sarcey), psychologiczna (Bourget, Lemaitre), rewolucjonistyczna, obiektywna (Brunetière), socjologiczna (Michajłowski, Brzozowski), i t. d. i t. d. — obok niezliczonych odmian krytyki dziennikarskiej. Wybór metod zależał tu od **CHARAKTERU UMYSŁOWOŚCI KRYTYKA, TYPU JEGO WRAŻLIWOŚCI ZMYSŁOWEJ, TEMPERAMENTU i ETYKI.**

Zasadniczo zagadnienia związane z wyborem metody krytycznej, dałyby się sprowadzić do dwu pytań, stanowiących odwieczny przedmiot sporu w literaturze. Pierwsze: czy krytyka ma być wyjaśniająca, t. j. w koncepcjach swoich ściśle złączona z dziełem i tylko wtedy wartościowa, gdy do dzieła przylega? — i drugie: czy krytyka ma być niezależna, twórcza (?), czyli traktująca dzieło wyłącznie, jako podłoże, materiał, coś w rodzaju odskoczni dla swych własnych koncepcyj?

Ambicje twórcze krytyków z trudnością godzą się na odpowiedź twierdzącą w pierwszym wypadku, w drugim zaś często tracą grunt pod nogami, oddalają się od czysto użytkowych, orientacyjnych potrzeb społeczeństwa. Krytyka wyjaśniająca często znów przechodzi w szablon, stwarza martwe formuły — twórcza zaś przez pozory twórczości pasywnie żyje na dziełach sztuki i wyradza się w mętny liryzm impresjonistyczny lub metafizykę. W jednym i drugim wypadku celowość krytyki zaciemniają przerosty, traci ona swój sens, w jednym i drugim zwyrodnieniu towarzyszy bezład metodyczny lub skostnienie. Wady nie decydują jednak o racji bytu lub niebytu jakiegoś zjawiska. To też dowodzenia i spory między tymi rodzajami krytyki raczej wskazują na konieczność kompromisu, niż usprawiedliwiają jednostronne ataki. Jeden i drugi ro-

dziej mógłby istnieć, dla dobra społecznego. Krytyka bowiem nie jest sztuką dla sztuki, lecz instytucją, a więc wbrew przesadnym ambicjom, posiada charakter użytkowy, poza swym celem wewnętrznym ma zadania wewnętrzne. Z tej złożoności celów wynika też jej zasada metodyczna. Musi być wyjaśniająca, konkretna, wyrastająca z faktów, ale musi też być twórcza, t. zn. wznosząca do tych faktów ów umysłowy i uczuciowy ferment, który stawia sztuce nowe zadania, problemy, prowadzi do nowych wartości i stanowi współczynnik woli artystycznej. O krytyce niezależnej, oddanej tylko jakimś swoim, abstrakcyjnym prawom, takiej, o jakiej marzyli impresjoniści, nie może być mowy, gdyż stanowiłaby ona sprzeczność samą w sobie. Celem krytyki nie jest samodzielny proces twórczy, ani psychologia autora, ale stosunek dzieła do środowiska.

Za wiele pisano i mówiono do tej pory o stosunku krytyka do autora, za mało O STOSUNKU KRYTYKA DO DZIEŁA. Skutkiem tego krytyka nabrała cech personalnych, przywiązywała się do osób, indywidualizowała zjawiska artystyczne, zaniedbując swe istotne zadania: zwłaszcza krytyka wyjaśniająca, zbliżona do środowiska przez swój wybitnie użytkowy charakter. W ten sposób sens sztuki sprowadzał się do mglistej, sporadycznej rewelacji czysto osobistych spraw duchowych, tracił swój organiczny związek z całokształtem życia zbiorowego, a praca artysty i jego społeczne stanowisko leżały poza obrębem socjologicznych zagadnień. W miejsce tego sztuka stała się terenem czysto osobowej eksploatacji jednostki nietyle zdolnej, co sprytnej, umiejącej wyzyskać handlowe zalety swej produkcji, schlebającej poziomowi mas, lecz nie podnoszącej tych mas do wyżyn kulturalnych swej epoki. Najlepszą ilustracją tego jest rynek artystyczny czasów obecnych. (Interesującym przyczynkiem są tu książki Baslera i M. Hiver). Snobistyczny kult jednostek, szerzony przez krytykę na wszystkich polach, uczynił z artysty albo przedmiot religijnej czci, albo zwycięskiego przedsiębiorcę, który umie zareklamować swój towar. W takich warunkach krytyka, licząca się ze swymi zadaniami estetycznymi, krytyka wychowawcza, reprezentująca najwyższy poziom kultury swej epoki, może znaleźć tylko ratunek w sankcji społecznej, która uzna twórczość artystyczną za równoważną z innymi dziedzinami pracy, a dorastanie do jej poziomu, za powszechnie obowiązujący cel wychowawczy. Czyli inaczej, krytyka zyska określone stanowisko, zerwie z siebie patetyczny strój maga - znachora i stanie się lekarzem, operującym nowoczesną techniką i metodami. Człowiek bowiem dzisiejszy patrzy na świat pod kątem ostrym, z pewną dozą zdrowego cynizmu i — czas wreszcie przestać oszukiwać świat i siebie idealistycznym kłamstwem minionego stulecia. Podobnie, jak w krótkowłosej, wygimnastykowanej kobiecie pracującej, przestaliśmy już widzieć anioła, bóstwo etc., tak w sztuce nie dostrzegamy tej mistycznej aureoli, jaką otoczył ją snobizm protektorów i daremna tęsknota nędzarzy.

2.

KOMPLEMENTY, CZY OBOWIĄZEK

Pospolicie panuje przekonanie, że zasadniczo krytyka pełni funkcje dydaktyczne w stosunku do autorów. Najmocniej zaś są przekonani

o tem sami krytycy, najbardziej zastrzegają się przed tem autorzy. A ponieważ często nie widzą świata poza sobą, więc odmawiając krytyce wpływu na swą twórczość, odmawiają jej racji bytu. Każdy autor, mimo zapewnień o swej skromności, jest z natury nieskromny, wrażliwy na punkcie swego dzieła i chętny do uprzedzeń wobec krytyka nawet za najbardziej rzeczowe uwagi. Im krytyk jest uczciwszy, tem więcej posiada wrogów wśród autorów. Wiedzą o tem doskonale wszyscy „twórcy”. **AUTOR JEST NAJBARDZIEJ NIEWYBREDNĄ PUBLICZNOŚCIĄ KRYTYKA**; onto żąda rzeczy najpłytszej, gołosłownej: **POCHWAŁY**; jegoto przeraża każdy błysk lancetu, każda próba analizy, on jest przyczyną często degeneracji krytyków swego dzieła. Często bowiem, ulegając sugestji powszechnej, wywołanej przez reklamę autorską, krytyk zatracą miarę sądu, „sprzyja” autorowi. I faktem jest, że właśnie autorzy plewią zdrowe kiełki krytyki przez wrogi stosunek do niej lub lekceważenie publiczne. W skargach ich na „brak krytyki” przebija wyraźnie niechęć do krytyki, która istnieje, oraz pragnienie (złudne) krytyki **NIFISTNIEJĄCEJ**, która dla nich **NIGDYBY ISTNIEĆ NIE MOGŁA**.

Trudno spotkać autora, zadowolonego z krytyka. Wniosek z tego, że o dydaktycznym znaczeniu krytyki dla autora można mówić tylko wyjątkowo. Nie złagodzi tego nawet wiara, że ten czy ów autor posiada samokrytycyzm i wytyka sam swe błędy, gdyż, poza tą chętelnością z błędów, kryje się obłudnie drażliwa ambicja matki, która bijąc własne dziecko: nikomu go dotknąć nie pozwoli. Perfidja autorów wobec krytyki jest tedy nieograniczoną komplikacją intryg wewnętrznych, podstępów, a wreszcie otwartą walką o **BEZKRYTYCYZM** w stosunku do siebie. Nic dziwnego. Są to tylko naturalne reakcje każdego twórcy. Ale nie mówmy wobec tego o wychowaniu artysty przez krytyka. Nie chcemy wierzyć, że nawet najbardziej rzeczowa krytyka przynosi autorowi w jego własnym mniemaniu korzyść. Autor tego nie pojmie — krytyk nie uwierzy.

Autor wymaga od krytyka takiej kurtuazji i subtelności, że zanika wobec tego wszelki sens krytyki; właściwe pole do niezależnej oceny otwierałoby się dopiero po śmierci autora. Nie da się to pogodzić z drugim, ważniejszym zadaniem krytyki w stosunku do odbiorców sztuki: czytelnika i widza. Obydwo dogodzić trudno. To, co potrzebne jest konsumentowi, rani często wytwórcę, naodwrot zaś — schlebianie oczywistym wadom zraza i wywołuje nieufność w czytelniku, wskutek zmian wyrażnej reklamy. Albowiem, mówiąc otwarcie: autor dzisiejszy pragnie reklamy i na niej zasada swe bezpośrednio zainteresowanie krytyką. Nie jest to jednak w interesie konsumentów, gdyż przez reklamę zaciemnia się często istotna wartość i potęguje możliwość nadużycia. Toteż, pozostawiając na uboczu sprawę reklamy dziennikarskiej, należy rozstrzygnąć: czy krytyka ma służyć propagandzie nazwisk i dzieł, czy też zadaniem jej jest poszukiwanie wartości? Jeżeli przyjmiemy to ostatnie, straci wszelki sens krytyka dla autorów, pozostanie krytyka dla odbiorców.

Wyzywszy się zależności od kaprysów autora, krytyka podlega kaprysom czytelnika. Bo i czytelnik ma swe sympatje, drażliwe punkty, nastawienia, a wreszcie poziom kultury, dający mu z kolei prawo do sążenia krytyki. Stanowisko to jest jednak o wiele łatwiejsze do przewy-

ciężenia, gdyż odbiorcy brak czysto osobistych przeczuleń na punkcie przedmiotu, nie jest on niemal identyczny z tym przedmiotem, jak autor, słowem, posiada wobec dzieła pewną perspektywę, która stanowi nieodzowny warunek do wydania lub przyjęcia sądu.

Między sądem czytelnika, a krytyką, musi zachodzić pewna różnica, w której nadwyżka jest po stronie krytyki, inaczej racja bytu krytyki byłaby mocno wątpliwa. Czytelnikowi może odpowiadać coś, czego krytyk nie uzna, lub czego nie bierze pod uwagę, ze względu na niski poziom artystyczny, banalność i t. d. Odwrotnie, krytyk może uznawać rzeczy, niedostępne dla przeciętnego odbiorcy, dzieła, przerastające epokę. Porozumienie wydaje się tu niemożliwe, chyba na gruncie przeciętności z jednej i drugiej strony. W każdym razie pozostawałaby droga autorytetu i sugestji, gdyż mimo wszelkie pozory, krytyka stanowi dla przeciętnego odbiorcy sztuki swego rodzaju wyrocznie, której ulega on pod naciskiem opinii mody, zwyczaju. Literatura gwałci tu życie, wychowuje, urabia sama swe stanowisko autorytatywne. Czyż bowiem Norwid a nawet Słowacki byłiby czytani przez ogół, gdyby nie narzucona opinia krytyki, która wywołała zainteresowanie nimi i urobiła odpowiednie przyjęcie ich dziełom?

Krytyka trafia do czytelnika nie tylko przez sprawiedliwe sądy, lecz przede wszystkim przez opinię i pod tym względem zbliża się do publicystyki. Zachęca ona, uczy patrzeć i czytać, a pierwszym zadaniem jej jest skłonienie odbiorcy do konsumpcji (reklama), dalej: uprzyśtępnienie wartości (wyjaśnienie), a wreszcie określenie tych wartości na podłożu epoki (ocena). W ten sposób krytyka dawałaby orientację estetyczną, stwarzałaby napięcie dynamiczne wobec sztuki w społeczeństwie, budziłaby w niem INTERES ESTETYCZNY, wciągałaby je w sferę oddziaływania sztuki.

Cywilizacja materialna dochodzi do uspołecznienia swych rezultatów w podobny ale skrócony sposób, ale kultura wymaga jeszcze krytyki. I tu i tam jednak spotykamy się z pewnym oporem. Komunikacja aeroplanowa, mimo szerokiej popularności, nie jest, ze względu na ryzyko, powszechnym środkiem łączności. Uświadczenie nie zrealizowało się jeszcze, nie przewyciężyło oporu, który zniknie wskutek wyraźnych potrzeb szybszej lokomocji. Podobnie ze sztuką. Mimo wielu tysięcy lat istnienia jest ona mniej popularna niż aeroplan, ale stanie się własnością powszechną, gdy zacznie ODPOWIADAĆ OKREŚLONYM POTRZEBOM, wejdzie w zakres bezpośrednich interesów człowieka. Obudzenie tych potrzeb, stworzenie dla sztuki powszechnego odpowiednika w życiu jest właśnie zadaniem krytyki. Nie może dokonać się to bez głębszych zmian społecznych, które dadzą właściwe warunki do rozwoju i upowszechnienia potrzeb estetycznych.

3.

O ŚMIERTELNOŚCI KRYTYKI

Stosunek krytyki do ideologii społecznych, już przez sam fakt jej łączności z życiem emocjonalnym gromady, jest bardziej rozgałęziony, niż jakiegokolwiek innej dziedziny sztuki. Nazwalismy krytykę instytucją spo-

lęczną — i z tego określenia wynika szczegółowe sformułowanie jej zadań. Jako reakcja na przejawy sztuki, wyrażająca sądy o najwyższym napięciu do jakiego zdolna jest epoka, krytyka reprezentuje ogólny poziom kultury estetycznej. Przejawia się w niej świadomy stosunek epoki do własnego życia duchowego. Nie każde dzieło sztuki stanowi miarę kultury swego czasu, inaczej nie mielibyśmy tylu twórców niepoznanych i tylu dzieł wysokiej wartości, które odkrywają dopiero następne pokolenia. Nie zmniejsza to wartości tych dzieł w dziejach, czasem przeciwnie wprost ją potęguje, przez nagłą rewelację. W stosunku do krytyki byłoby to jednak absurdem. Krytyka, przerastająca swą epokę, traciłaby życiowy sens, nie byłaby wyrazem swego czasu, stanowiłaby przejaw czysto indywidualny, pozbawiony związku z estetycznym interesem społeczeństwa, a więc rzecz niepotrzebną. Zapładniające znaczenie jej bowiem polega na tem właśnie, że nie jest ona trwała i wieczna w swych zjawiskach, że zależy w swych wartościach od czasu, że cały sok jej kipi nieustanną fermentacją. Zmienia się ona tak jak formy życia i, spełniwszy swe zadanie, przechodzi do muzeum w postaci zabytku, świadectwa kultury swego czasu, jego smaku i stylu; nie daje się jednak ożywić, nie może narzucać swej miary epoce następnej. Wielkie dzieła sztuki, obrazy, posągi i poematy zachowują swą wartość przez tysiące lat mimo zmian formy i mody, żyją aktualnie; sądy natomiast krytyczne ustępują sobie kolejno miejsca, narastają na sobie, spychają się nawzajem w nicość, stają się anegdotą. „Iliada” ma wartość nieprzemijającą, ale kogo dziś obchodzi, poza historykiem, sąd wydany o niej przez Greka współczesnego Homerowi? A nikt przecie nie ośmieli się twierdzić, że „Iliada” jest dla nas interesująca tylko, jako dziejowy dokument.

Wartość krytyki jest więc czasowa, i względna, w przeciwieństwie do sztuki, lecz za to stanowi ona warunek narastania przyszłości, żywej, kulturalnej fermentacji, która ogarnia daleko szerszy zakres, niż sama sztuka. Dzieło sztuki posiada mniejszy zakres dynamicznych wpływów, lecz treść statycznie trwalszą i głębszą. Krytyka zaś ma zakres i perspektywy dynamiczne nieograniczone, ale treść zmienną, względną i nietrwałą. Jest cała dynamiką, wysiłkiem świadomości, pracą krwi i nerwów, jak praca inżyniera, kierującego fabryką. Nie stwarza rewelacyj artystycznych, lecz jest ich matką. Z niej rodzi się ferment świadomości zbiorowej, gleba dla arcydzieł. Bez niej arcydziełami nazywanoby, sądząc z pochytyości i wzięcia, brukowe romanse lub pornograficzne obrazy. Dzięki niej istnieje miara społecznego wartościowania sztuki w każdej epoce, smak i styl.

Krytyka przeszła nie da się ocenić według sprawdzianów terażniejszych. Oceniać ją mogą tylko współcześni — historia może ją tylko przewartościować t. zn. przewyciężyć. Z tego stanowiska historia krytyki, jako wiedza posiłkowa, nie ma najmniejszego znaczenia w praktyce krytycznej. Krytyk, za każdym razem, musi stwarzać kryterja nowe, bez powoływania się na autorytety przeszłości, o ile chce być krytykiem żywym. Musi być podwójnie twórczy: stwarzać nietylko styl czasu, ale miarę i sprawdziany tego stylu o znaczeniu POWSZECHNEM. Stwarzać! — gdyż nie pomoże mu do formułowania sądów wartościowych ani tradycja, ani wiedza, ani podręcznik. I chociaż przyszłość jego fatalistycznie znaczy konieczność upadku,

obowiązkiem jego jest tę przyszłość stwarzać, budować dla samego siebie rusztowanie, szyć koszulę śmiertelną dla swych myśli, bez nadziei odwrócenia losu; następca jego nie będzie jego synem, chociaż będzie deptał po jego grobie.

Krytyka nie rozwija się bowiem, tylko narasta. Mówi się o kierunkach sztuki, prądach stc. Samo pojęcie sztuki jest już mniej więcej ustalone, posiada zdecydowany zakres i treść. Wszystkie odchylenia dadzą się tu podciągnąć pod jedną nazwę i najogólniejszą formułę, są etapami pewnej drogi, placówkami rozwoju. Krytyce zaś brak łączności między okresami, jest w niej pewna skończoność. Umiera ona z epoką i, jakkolwiek tworzy wiele rzeczy, staje się ofiarą swoich dzieł, pochłaniają ją, jak pleśń chleb, jej następcy. Porasta ona na powierzchni czasu, nie przeistacza się, nie jest dalszym ciągiem, zawsze jest skończona, pełna, współdziała z rozwojem — sama się nie rozwija. Krytyk z czasów klasycyzmu nie jest ojcem ani dziadkiem krytyka dzisiejszego, gdyż kryteria nowoczesne wchłonęły bez reszty i strawiły całą praktyczną, historyczną i filozoficzną wartość tamtych sądów. Nikt ich nie będzie stosował, nikt nie uzna ich racji bytu i potrzeby aktualnej.

4.

BŁĘDY I ZBOCZENIA

Mimo wszystkich swych społecznych zalet, krytyka jest dziedziną najbardziej narażoną na zwyrodnienie i psychopatyczne zбочzenia. Możliwość i łatwość błędów, pomyłki, jest bodaj czy nie największym ciężarem w pracy krytyka. Uznane w nim przez środowisko prawo sądu rozrastać się może aż do rozpętania namiętności czysto osobistych, do sadyzmu, nadużycia władzy wobec sztuki, a więc do naruszenia powagi i wartości sprawdzianów krytycznych. Jeżeli bowiem stwierdzimy z radością, że krytyk jest „także człowiekiem” i przypisujemy mu te same namiętności co sobie, to jednak, myśląc o krytyce, nie przypuszczamy ani na chwilę, iż namiętności te, czysto osobiste, mogłyby wywierać wpływ na charakter sądów przez nią wygłaszanych. Przypuszczamy istnienie namiętności, ale czysto estetycznych, w stosunku do dzieł sztuki, i uznajemy ich potrzebę. Ale z chwilą, gdy kojarzy się z nimi pierwiastek czysto osobisty: niechęć do autora, różnica przekonań politycznych, zawiść, konkurencja, urażone ambicje, wydają się one zбочzeniami i odchyleniami od naszego ideału krytyki. Godzimy się na krytykę subiektywną, lecz z niesmakiem przyjmujemy krytykę osobistą. Odczuwamy to, jako obrazę instytucjonalnego jej stanowiska, podobnie jak niesprawiedliwy wyrok sądu.

W krytyce obowiązują tylko walory intelektualne, kultura umysłu. Równie doniosłe znaczenie ma w niej kultura obyczajów, przyzwoitość i etyka. O ile sztuka sama przez się nie znosi ram przeciętnej moralności, i nie daje się podporządkować żadnemu prawu społecznemu, gwałcącemu często jej niezawisłość, — o tyle krytyka jest podporządkowana powszechnie przyjętym prawidłom etyki i kontroli społecznej. Co więcej, sama jest powołana do stwarzania norm etycznych w zakresie wydawania sądów. Albowiem krytyka może popełniać nadużycia, może krzywdzić.

Krok stąd tylko do zagadnienia odpowiedzialności.

Krytyka wymaga odpowiedzialności. To znaczy, że posiadając prawo sądu, może podlegać kontroli środowiska i sama może być sądzona. Nie wystarcza tu jedynie odpowiedzialność wewnętrzna, samo sumienie i ocena indywidualna krytyki przez siebie, gdyż autorytatywność jej i nieodwołalność staćby się mogła pokrywką dla nadużyć. Pod pozorem i hasłem sumienia może kryć się zwykłe szalbierstwo. Sumienie, ponoszące odpowiedzialność az sądy, zyska probierz dopiero wówczas, gdy oprze się o ciężar odpowiedzialności zbiorowej i nabierze wagi OPINJI. Cóż z tego skrzywdzonym jednak, jeżeli opinia ta działa po fakcie, jeżeli ma charakter historyczny, jest spóźnioną rehabilitacją lub przyznaniem się do błędu? Na prostowaniu pomyłek krytyki ludzkość więcej traci, niż zyskuje. Bieżąca kontrola krytyki i ograniczenie jej błędów byłoby zyskowniejsze od wszelkich odkryć i wydobywania minionych wartości. Dlatego krytyka powinna być odpowiedzialna aktualnie, wymaga jakiejś instancji, chroniącej społeczeństwo od nadużyć i fałszu osobistego, od niedo- i przeceniania, od tendencyjnego przemilczania. Instancją taką może być tylko opinia właściwych konsumentów sztuki, których głos w zakresie formalnym powinien obowiązywać fachowego krytyka. W miarę wzrostu powszechnej kultury estetycznej i literackiej, opinia rozszerza swój zakres. Powaga drukowanego słowa zmniejsza się, a zatem zwiększa się waga opinii. Despotyzm dzienników, działających na masy bez żadnej kontroli, w imię takiego czy innego nastawienia redaktorów, traci swoją dawną aureolę wyższej władzy kulturalnej, zmienia się w handel przekonaniem, w najbardziej ujemny przejaw kupiectwa, w samowolne żerowanie na opinii lub płatne służalstwo. To samo dzieje się przeważnie z prasą periodyczną, ulegającą względem personalnym, powierzającą sprawy sztuki jednostkom niekompetentnym, jako „rzecz drugorzędną” i niepopularną wśród przeciętnych czytelników. Siłą faktu dezorientuje to opinię, budzi w niej nieufność do krytyki i poczucie przewagi nad nią. Autorytet krytyki upada, a przywrócenie go zależy całkowicie od wzrostu OPINJI ESTETYCZNEJ W SPOŁECZENSTWIE, OD JEGO POSTULATÓW STAWIANYCH PRASIE. Bez głosu odbiorców, krytyka, zatopiona w komerażach towarzysko-literackich, nie zdoła się oczyścić i wyemancypować z narzucanych sobie ponęt: reklamy, usługi i fałszu. Niebezpieczeństwo zwiększa tu jeszcze dążność do tworzenia t. zw. grup artystycznych, które, wbrew zasadzie indywidualnej twórczości, hamują przez solidarność i zmovę niezależność sądów krytyki. W takich warunkach, ułatwiających autorom pastwienie się nad krytyką niezależną, wszelkie wartościowanie zmienia się w komedię. Krytyka przestaje być publicystyką, wyradza się w dyplomację, politykę artystyczną, nie ogarnia całokształtu swej epoki, tylko ciasny kurnik, podwórko, zagrodzone przez kilka niewypierzonych często artystycznie jednostek.

Wniosek z tego, że epoka nasza posiada względnie mało warunków dla krytyki niezależnej, ma natomiast wszelkie dane na wielką ilość krytyków, już przez sam fakt wzrostu prasy. Nie wynika z tego jednak, iż krytyka, odpowiadająca naszym postulatom, jest niemożliwa. Niezależnie od dziennikarskiej opinii, mogłaby powstać instytucja społeczna krytyki, coś w rodzaju akademii, kontrolującej stan kultury artystycznej ogółu, kom-

petencje i rozstrzygającej problemy wątpliwe. Jeżeli akademja sztuki jest zawsze rzeczą dwuznaczną, zaspokajającą tylko ambicje bez wpływu na samą twórczość, to instytut i akademja krytyki miałyby znaczenie całkiem pozytywne, realne i określone, a ze społecznego stanowiska użyteczne. Wzmogłyby one zainteresowanie sztuką i przeprowadziły rewizję wartości dotychczasowych.

H. ZAŁSZUPIN

NIEPOTRZEBNY ROMANS

Prosta opowieść. Robotnik — telefonistka. Spotykają się, przypadkiem, w jakimś Luna-Parku. Spodobali się sobie, pokochali się. Ale w tysięcznym tłumie stracili się z oczu. Zapada wieczór. Pada deszcz. Nigdy się już nie spotkają. (W New-Yorku!).

Film, obecnie wyświetlany w Berlinie. Reżyser „rozwiązał” sytuację tak, że młodzi mieszkają obok siebie. Ale przypuśćmy — poprostu — że straciwszy się z oczu, już się nie spotkają. Nie chodzi o prawdopodobieństwo, o to, co jest „życiowe” — ale o pozostanie w ramach jednej rzeczywistości. W tej rzeczywistości zaś, że powiem: w jej wymiarach, nie mieści się spotkanie. (Na sali pomruk: idjotyczny film).

Niestety, w romansie jest końcowy punkt. „Miłość p. L. — powiada p. Prędski *) — da się opowiedzieć: 1) od chwili powstania do jej rezultatu, 2) od rezultatów miłości p. L., cofając się wstecz do chwili powstania, 3) od któregoś z środkowych etapów tej miłości, zazwyczaj od punktu kulminacyjnego, cofając się wstecz do chwili powstania, by później, jednym skokiem powrócić do miejsca, w którym się opowiadanie przerwało, i kontynuować je aż do rezultatów tej miłości”.

Tedy zawsze są „rezultaty” miłości — i do nich, lub od nich, zmierza tok akcji. A może same „rezultaty”? A może miłość bez „rezultatów”, jak w przypadku okrojonego filmu? Nie, p. Prędski zakłada, gdy mówi o etapach, że „miłość p. L. da się opowiedzieć” od A do Z, nie inaczej — dlatego, że musi być i A i Z, i dlatego, że „powieść musi być tematowo dobra, czyli, zawierać w sobie możliwości rozwojowe powieści”. Ale możliwości rozwojowe zawiera właśnie nowela o robotniku i telefonistce, niezakończona głupim spotkaniem u drzwi — gdy miłość p. L., zakrojona na powieść, nie zawiera ich zgoła! Przedewszystkiem dlatego, że obieranie tematu, w którym dopuszczalna zmienność elementów znajduje się w czasie — to ubożenie rzeczywistości o przekroje przestrzenne. W hipotetycznej noweli zaś o robotniku i telefonistce dany jest właśnie przekrój przestrzenny, odcinek, dwa punkty na jednej z krzywych linii życia.

Gdy „miłość p. L.” rozkładamy na etapy: powstanie, punkt kulminacyjny, rezultaty — zdumiewa nas płytkość, ciasnota takiej teorii powieści! —

*) Patrz Nr. 1 „Europy”.

nietylko że po uszy tkwimy w „literaturze“, ale zakreśliamy rzeczywistości granice własnej miernoty. Nastawienie, w którym czas, niby akumulator na prąd zmienny, jest źródłem i najgłębszą treścią przewrotów, wypływa z rutyny, z jakiejś bezmyślności. Rzeczywistość wiąże się tam z jednostką czasu. Podobnie, jak jest początek akcji, jej koniec, musi i w czasie być początek, REZULTAT. Cokolwiek się tam staje, staje się w czasie. Identyfikacja procesów psychicznych z biegiem przeżyć w czasie — tempus edax rerum — funkcjonalna zależność treści od czasu, cała ta „życiowość“, cała ta literatura rzeczywistości niezmiennej, oczywistej, biernej, jest zmechanizowana. Każdy obiekt — miłość p. L. — zatracza treść właściwą. Powieści odtwarzają — choćby z tendencją, „modernistycznie“ — lecz jednakowo, według przyjętej normy, stany skatalogowane, przeżycia. Tak zwane obserwacje — psychologiczne — gromadzenie odpadków — i t. zw. analizy — spreparowanych sytuacji — oto praca umysłowa powieściopisarza. „Chodzi o przetworzenie każdej życiowej treści na treść powieściową — woła p. Prędski — o dostosowanie do ram...“ Powieściowa treść! Bawimy się w piasku: zdjęta foremka odsłania rybkę, babę. O to tylko chodzi. Nałożyć blaszkę, przycisnąć, i ostrożnie zdjąć.

Nie, — dość łatwizny literackiej!

Wielość rzeczywistości, w najlepszym razie, jest dla pisarza „filozofją“. Niezrozumienie jej działa kojąco. Napewno z błogiem uczuciem wygodnie ogląda powieściopisarz swoje paznokcie. E pur si muove... Rzeczywistość konkretna, z której — być może — wyrastają pochodne... imaginowane... czy jak tam... No, ale...

Porównałbym rzeczywistość z dość wąską ślizgawką, wzdłuż której są tory, jak na terenie biegu, ale krzywe — tak, że tworzą esy floresy. Jednym z nich jest świadomość, innym — marzenia na jawie, innym znów — sny. Dla każdego to wszystko wygląda inaczej, różny jest rysunek, różne zażebienia. Ślizgamy się. Coraz to inne przebiegamy tory. Świadomość uniemożliwia nam rozróżnienie granic — i odwrotnie, gdy zatrzymujemy się na torze snów, czy marzeń na jawie, świadomość ustaje. Kontroler śpi, albo ma wychodne.

W literaturze fantastycznej, w bajkach, w baśniach, i w symbolicznej poezji panują marzenia. Literatura powieściowa ograniczyła się do... „odtworzenia rzeczywistości“. Ranga umysłowa 90 procent t. zw. literatury twórczej, jak mówi Irzykowski, zdecydowała o jednotorowym biegu powieściowych postaci — postaci papierowych, bo to, co w nich widzimy, co zamknięte jest w ramach, ciągnie się z „obserwacji“ w jakimś zamku na lodzie (zamkiem na lodzie jest nietylko baśń). W życiu tych postaci wszystko się wiąże, „fakty“ są obmyślane, policzone, cyfrowane. Pierwsze wypływają z „konstrukcji“ powieści, drugie z pierwszych, trzecie z drugich. Zaiście, cudowna logika wydarzeń! Pierwszy Dostojewski sypnął illogizmem, no, ale to przecież demoniczne postaci, typy patologiczne; zresztą, autor — wie Pani? — był chory.

• Powieści tego typu, t. j. prawie wszystkie, stały się niemożliwe w tym logicznym łańcuchu. Dużo mówi się u nas o zakłamaniu w powieści. Problem tkwi głębiej. Odkłamywacze nawet nie zdają sobie sprawy, jakiego

trzeba przewrotu w powieści, jakiej walki, by pisarze uwzględnili przekroje tych torów, które usytuowałem na lodzie. Odżywczy jest w tej atmosferze André Breton. Ale surrealizm omówię oddzielnie. Wróćmy do przykładu okrojonego filmu.

Nic się nie dzieje, nic się nie kończy, choć zaczyna się miłość dwojga młodych. Temat nie leży, jak widzimy, w faktach. Nawet spotkanie... Bo jakąś dziewczynę każdy chyba spotka, w niedzielę, w Luna-Parku; a że mu się podoba z pierwszego wejrzenia, że po godzinie się w niej zakochuje — to zdarza się po kilka razy dziennie.

Powiedziałem: ponowne spotkanie nie leży już na tym samym torze. Niepostrzeżenie przebiegliśmy na tor marzeń na jawie. Dlatego na tym odcinku rozwija się powieść. W tym sensie rozumiem owe „możliwości”. Początek, lub koniec powieści bowiem znaczony jest przejściem z toru na tor, z jednej, dowolnej rzeczywistości w drugą, która się narzuca, która jest tuż obok. Zadaniem powieściopisarza jest odkrywanie — nie wynajdowanie! — płaszczyzn życia, brył, wzajemnego stosunku, kąta, pod którym je widzi czytelnik, „bohater”, sam autor, i t. d. — Powieść jest 1) sondą, 2) analizą zgłębionej treści, zawartości kawałka (tematu), 3) planem przedstawiającym stosunek tego kawałka do bloku, którego jest częścią, 4) filozofią oderwania się kawałka, poniekąd — zlutowaniem go z całością.

Nie, nie bawimy się rybką z piasku. Ryba musi być prawdziwa, żywa. Wyławiamy ją, badamy, staramy się odkryć jej właściwości, śledzimy jej mękę, gdy trzepece w misce — i puszczamy do wody. „Opowiedzieć da się” taka historia bądź ze stanowiska rybki, bądź widza, bądź autora (managera) — bądź innej rybki, która się przyglądała, bądź tej, co — usmażona — już była w czymś brzuchu. Bo są rzeczy, o których nie śniło się teoretykom powieści.

Roman
Markuszewicz

„NA ZACHODZIE NIC NOWEGO“ *)

„Książka ta nie powinna być uważana, ani za oskarżenie, ani za wyznanie wiary. Jest ona tylko próbą zdania sprawy z dziejów pokoleń, zniszczonego przez wojnę, wówczas nawet, jeśli uszło ono przed granatami”. Autor stawia sobie więc za zadanie: zbadanie nie tych ran fizycznych, jakie zadała wojna, lecz choroby psychicznej, wywołanej przez wojnę i niszczącej tych, których nie dosięgły granaty.

*) Szkic analizy popędu samozachowawczego na podstawie książki Remarque'a. Specjalnie wojna wskazuje na dużą rolę popędu samozachowawczego w życiu psychicznym człowieka, co dotychczas nie zostało uwzględnione przez teorię libido **Freuda**, zajmującą się z natury rzeczy popędem seksualnym. Obszerniej zagadnienie to poruszam w pracy, znajdującej się w druku w „Jahrbücher f. Psych. u. Neurologie”.

Zapewne, obcy jest autorowi, jako artyście, punkt widzenia lekarski: nie definiuje on ściśle owej choroby psychicznej, nie stara się ustalić warstw psychicznych, na których podłożu rozwinęło się to cierpienie. Z każdej stronicy jednak tej wstrząsającej swą prawdą książki płynie spowiedź udręczonego człowieka, która jest tak psychologicznie przejrzysta i zgodna z tem, o czem niejednokrotnie mamy możność słyszeć podczas seansów psychoanalitycznych, że chciałbym bodaj w krótkim szkicu ująć ściślej to, co autor dojrzał w swej wizji artystycznej.

*
*
*

Treścią są tu dzieje grupy żołnierzy, składającej się z uczniów gimnazjalnych, namówionych przez dyrektora szkoły, Kantorka, do wstąpienia do wojska. Po krótkotrwałym zapale — występuje szereg sprawdzianów życiowych: wyrafinowane udręki życia koszarowego, życie pełne wyrzeczeń w polu, stałe obcowanie ze śmiercią, co powoduje wzmożoną dążność do zwalczania jej, — (sztuka, którą przyswaja sobie młodzież cd doświadczonego i starego żołnierza Stanislaus'a Katczinsky'ego). Wobec tych realności życiowych nie może się ostać tani idealizm Kantorka. Żołnierze Remarque'a nie okłamują siebie, nie ukrywają wstydlive tego, co jest istotnie ludzkie: wyczerpani głodem, pokąsani przez robactwo, znękani ciągłą obawą i walką ze śmiercią, marzą o wyspaniu się w łóżku, o napełnieniu strawą żołądka, o rozkoszy, płynącej ze spełnienia czynności fizjologicznych organizmu. Widzimy tutaj **regresję psychiczną** do stanu **pierwotnego, infantylnego**. Ta regresja do stanu pierwotnego spowodowana jest z jednej strony przez uczucie bezbronności wobec stale czyhającej śmierci, z drugiej zaś przez rozczarowanie i odwrócenie się od tego wszystkiego, co się nazywa cywilizacją, a co z taką pogardą autor uosabia w Kantorku. W obliczu śmierci mądrość Katczinsky'ego wyżej stoi od cywilizacji Kantorków: pierwsi bowiem uczą unikać śmierci, — drudzy natomiast całą swą „mądrość” oddają na usługi śmierci, pozostawiają w jej sidłach młodzież, mając przy tem przyjemne poczucie spełnionego obowiązku obywatelskiego. Dlatego z taką miłością odtworzona jest postać starego żołnierza z ludu, Katczinsky'ego, — naskutek bowiem regresji do stanu pierwotnego, ideologia uczniów gimnazjalnych zamienia się na trzeźwy rozsądek człowieka z ludu, który liczy się jedynie z faktami. Rozumiemy żołnierzy Remarque'a, którzy walczą nie z urojonym wrogiem Kantorków, lecz z realną obawą śmierci, w obliczu której ostać się może tylko to, co w człowieku jest najistotniejsze: **popęd samozachowawczy**. O przebudzeniu się instynktu samozachowawczego ze wzmożoną siłą, który góruje nad wszystkimi innymi przejawami życia, mówi autor w następujących słowach: „Życie tutaj na pograniczu śmierci posiada niezwykle prostą linię, ogranicza się do spraw najistotniejszych, — wszystko inne spoczywa w głębokim śnie; na tem polega nasza pierwotność i nasz ratunek” (str. 267).

„Każdy przejaw życia powinien służyć tylko utrzymaniu życia i jest obowiązkowo w tym kierunku nastawiony. Wszystko inne jest wyłączone, gdyż zużytkowałoby niepotrzebnie siły...” (str. 268).

Widzimy więc, że psychiczna regresja do pierwotnego stanu uwarunkowana jest przez wzmożony popęd samozachowawczy. Ten właśnie wzmożony popęd powoduje w chwilach największego niebezpieczeństwa, a więc podczas ataku nieprzyjaciela, wybitny **egocentryzm** żołnierzy: na pierwszy plan występuje myśl o narażaniu **własnego** życia, — stąd bezwzględność w zwalczaniu wszystkiego, co temu życiu zagraża. Zabicie wroga oznacza w skrócie myślowym podczas wojny usunięcie niebezpieczeństwa własnego życia. Dzięki temu egocentryzmowi budzi się **nie-nawiść**, umożliwiająca zabójstwo przez człowieka, który nigdy nie zdobyłby się na podobny czyn w stanie zwykłego myślenia. Kiedy jednak chwila niebezpieczeństwa mija, ustępuje napięcie popędu samozachowawczego, egocentryzm maleje — a budzi się refleksja, że zabójstwo, nawet w imię obrony własnego życia, jest przecież przestępstwem. Płynie stąd **poczucie winy**, które w sposób wstrząsający odtworzone zostało przez autora w scenie zabójstwa dokonanego przez bohatera książki na żołnierzu francuskim, spotkanym oko w oko w leju.

„Trup ten jest związany z mem życiem, i dlatego muszę wszystko uczynić i przyrzec, aby znaleźć ratunek. Ślubuję więc nieprzytomnie, że chcę żyć tylko dla niego i jego rodziny, drżącymi wargami przemawiam do niego, a przy tem tkwi we mnie głęboko nadzieja, że dzięki temu okupię siebie i jednak wydam się stąd, — mały podstęp, który ocenić można dopiero później. I dlatego otwieram notes nieboszczyka i czytam w skupieniu: Gérard Duval, typograf...”. „Zabiłem drukarza Gérard'a Duval'a. Muszę być drukarzem, myślę w stanie zamroczenia, drukarzem, drukarzem”. (str. 224 i 225).

Ze zdumiewającą prawdą psychologiczną odtworzony jest tutaj stan psychiczny człowieka, obciążonego **poczuciem winy**. Trzy są bowiem możliwości, dające ujście temu najbardziej zakłócającemu równowagę psychiczną uczuciu. O ile poczucie winy zostało zepchnięte do nieświadomości, przejawia się ono symbolicznie pod postacią choroby nerwowej, jak histerja, depresja, różne stany lękowe i t. d.: wówczas bowiem człowiek nieświadomie wymierza sobie karę za pośrednictwem owej choroby nerwowej. Jeżeli zaś poczucie winy jest świadome, to w przypadkach wyjątkowych może ono doprowadzić człowieka nawet do szukania we własnej śmierci rozwiązania tej tragicznej sytuacji. Tak też się dzieje z bohaterem książki: ginie on nie podczas huraganowego ognia, lecz wówczas, gdy na froncie panuje taki spokój, iż dowództwo ograniczyło się do krótkiego meldunku: na zachodzie nic nowego. Śmierć więc ta przeznaczona była tylko dla niego jednego. Śmiercią okupił winę.

Zapewne, nie jest to wyjście z sytuacji w należyтым tego słowa rozumieniu. Tragiczny koniec książki jest miernikiem ogromu winy, odczuwanej przez samego autora, wynikiem jego surowej moralności. W obliczu śmierci towarzysza, niedawnego wroga, Gérard'a Duval'a, bohater książki ślubuje: „Jeżeli ocaleję, towarzyszu, będę walczyć przeciwko temu, co nas zniweczyło: tobie odebrało życie, — a mnie? również życie. Obiecuję ci, towarzyszu. Nigdy więcej nie powinno to się zdarzyć!”—

Autor dotrzymuje obietnicy. Drukuje książkę, która — nie zważając na zastrzeżenie autora, że nie powinna być uważana, jako oskarżenie — jest niem w znaczeniu doskonałym. Że Gérard Duval był drukarzem, nie uważamy tego za przypadek. Dzięki wyjątkowej swej intuicji, autor wskazuje jak gdyby na samym sobie ową trzecią możliwość, dającą ujęcie poczuciu winy w sposób najbardziej doskonały: poprzez **utożsamienie się z wrogiem**, wyrzec się nienawiści, która wówczas będzie bezprzedmiotowa, — zaś nagromadzoną przez wojnę energję pierwotnego popędu samozachowawczego uwznioślić, obracając ją na walkę nie z urojonym przeciwnikiem, lecz z tem wszystkiem, co umożliwia tę najstraszniejszą, nie tylko fizyczną, lecz i moralną klęskę, jaką jest wojna. Wynikiem tej sublimacji popędu samozachowawczego jest książka Remarque'a.

* * *

Podłożem choroby psychicznej, na którą cierpią ci wszyscy, których nie dosięgły granaty wojny, jest rozpętany pierwotny popęd samozachowawczy. Zjawisko to jest tem smutniejsze, że nie znajduje naogół tego bezwzględного sprzeciwu ze strony społeczeństwa, na jakie napotyka przejawienie się popędu seksualnego. Porządek społeczny ugruntowany jest w równej mierze na tłumieniu instynktu seksualnego, jak na wzmaganiu popędu samozachowawczego: o ile tłumienie i sublimacja popędu pierwszego jest źródłem moralności, o tyle utrwalanie popędu drugiego jest przeciwagą tej ideologii, dla której zbyt ciasno pojęty porządek społeczny mógłby się stać zbyt sztywny. Lecz podobnie jak trwałe tłumienie popędu seksualnego, tak i nieustanne wzmaganie instynktu samozachowawczego nie może ująć bezkarnie. Nagromadza się bowiem wówczas tak wielka ilość energii psychicznej, że w imię zachowania równowagi musi ona być zużytkowana. Bezlitosna walka człowieka pierwotnego o byt dawała możność wydatkowania energii psychicznej, płynącej z wzmożonego popędu samozachowawczego. Człowiek współczesny nie różni się zbyt od swego pierwowzoru i prowadzi równie zaciętą walkę, jeśli nie o byt w znaczeniu pierwotnego człowieka, to o poziom życia. Zmieniły się tylko metody tej walki: wymagają one tłumienia i sublimacji nienawiści, płynącej z wzmożonego popędu samozachowawczego. Historia nienawiści jest równie stara, jak i historia miłości. Spotęgowana nienawiść musiała już być oddawna czynnikiem, rozsadzającym społeczeństwo, jeżeli już pierwszy prawodawca dążył do poskromienia jej nakazem miłości bliźniego, apelując przy tem jednak znowu do instynktu samozachowawczego. Odtąd historia cywilizacji człowieka jest historją sublimacji popędu samozachowawczego. Niezbyt trudno dopatrzyć się w dążnościach dobroczynności, w hasłach braterstwa i równości, tendencji do zabezpieczenia się, do utrwalenia własnej pozycji.

Sprowadzając powyższe dodatnie dążności człowieka do popędu samozachowawczego, bynajmniej nie zamierzam ich w ten sposób poniżyć, czy pomniejszyć. Sądzę jednak, że tylko wówczas będą one trwałe, jeśli jednocześnie z sublimacją postępować będzie faktyczne tłumienie popędu samozachowawczego. W przeciwnym razie sublimacja ta będzie niewystarczająca, a stale nagromadzająca się nienawiść przejawiać się będzie w postaci pierwotnej.

Zapewne, owo tłumienie popędu samozachowawczego natrafia na wielkie przeszkody. Społeczeństwo zainteresowane jest tylko w tłumieniu nienawiści, lecz dąży do wzmożenia popędu samozachowawczego. Zadanie to jest nieosiągalne — i tutaj tkwi źródło konfliktów psychicznych, tembardziej, że żądając wyrzeczenia się nienawiści, społeczeństwo apeluje niestety do instynktu samozachowawczego — tego, jak widzieliśmy, źródła nienawiści. Niemożność tłumienia nienawiści w tym stanie rzeczy przejawia się niejednokrotnie, jak o tem poucza chociażby obserwacja życia codziennego, z całą jaskrawością zaś wyraża się ogrom nienawiści ludzkiej podczas wojny. Wówczas budzi się poczucie winy. Racjonalizacją zaś poczucia winy są zazwyczaj rozważania, kto ponosi odpowiedzialność za wywołanie wojny, przyczem każdy stara się obarczyć tą odpowiedzialnością swego przeciwnika. Z racjonalizacji tej widzimy, że nawet najokrutniejsza wojna nie wyczerpuje całego źródła nienawiści, tkwiącej w poszczególnych narodach. Lecz, co najważniejsze, racjonalizacja owa jest dowodem nieszczerości wobec samego siebie, nieudolną próbą ukrycia prawdziwego poczucia winy za to wszystko, co przejawiało się w każdym człowieku podczas wojny. Nienawiść bowiem, ukrywana dotychczas w nieświadomości, ukazała swoje prawdziwe oblicze. Wobec tego ogromu nienawiści, zagrażającego istnieniu społeczeństwa, rozpoczyna się gorączkowa praca w kierunku sublimacji — znów w imię popędu samozachowawczego. Wyrzeczenie się wojny, jako zła, zagrażającego całej ludzkości, Liga Narodów — stają się najbardziej aktualnymi hasłami. I historia cywilizacji jest nadal historią nieudolnych prób sublimacji popędu samozachowawczego.

Jak ten konflikt psychiczny przeżywa Remarque? Na wstępie zastrzeżę się, że nie oskarżam, — ponieważ sam czuję się w roli oskarżonego. Nie stara się nikogo obarczać winą, — gdyż cierpi z powodu poczucia własnej winy. To stanowisko autora jest tak inne w porównaniu z wszystkimi, którzy dotychczas przeciwko wojnie pisali, że zmusza czytelnika do zastanowienia się, do zajrzenia w głąb własnej nieświadomości. A wówczas zaczyna budzić się niepokojące poczucie własnej winy, które nakazuje czytelnikowi utożsamić się z bohaterem tej niezwykłej książki. Przeżywamy odtąd dzieje bohatera z szczególnym niepokojem, w ślad za autorem utożsamiamy się z niedawnym wrogiem, obecnym towarzyszem. Tłumimy w sobie — już nie nienawiść, lecz sztucznie rozpętany popęd samozachowawczy, gdyż wobec śmierci znika nienawiść. Przeżywamy wreszcie śmierć bohatera, jako symbol wyzbycia się winy przez poniesienie kary.

W tem tkwi tajemnica zasłużonego powodzenia książki Remarque'a: wdzięczni mu jesteśmy za to, że pozwolił nam — bodajże częściowo, nieświadomie, odreagować poczucie winy, rozpętane przez wojnę, ale żywotne w duszy każdego człowieka. Czy jednak reakcja nieświadoma jest wystarczająca do wyzbycia się poczucia winy? Autor ze smutkiem twierdzi, że współczesne mu pokolenie jest pod względem psychicznym zniszczone przez wojnę. Dodajmy: nie tyle przez samą wojnę, ile przez to, że wojna była i jest nadal możliwa. Ale przyczyna zła tkwi nie w tem pokoleniu, nawet nie w pokoleniach poprzednich. Wynika ona z niemożności wyzbycia się nienawiści przy stałym wzmagananiu się popędu samozachowawczego. Ten prastary konflikt człowieka domaga się szczerego uświadomienia.

J E D N I :

*zawieszeni na własnym wzroku,
uniósłszy ziemię,
soczewkę wieczności,
wysoko,
po linie z błękitu rozwijanej patrzeniem
wspinają się wymiary nad siebie podnosić,
toczą glob, grubo posrebrzany luną,
odplątują przestrzenie,
aż
ziemię
otyłą ciałami niebieskimi, ubraną w muł
[gwiazd
na dnie
rozedmą przez szkło lunet
w pochłaniającą banię
jedni.*

DRUDZY:

*wnikają w grunt,
jeden zdrabniają źrenicami w pół, pół
[w ćwierć, ćwierć w
. Boga:
punkt*



ZMĘCZENI

*Zmęczeni, spoczawszy na posłaniu z dłoni,
czekamy,
aż parujący pot z ciała nas ulotni
i poniesie na marzeniach,
aby nas położyć na rzęsach, w kołysce z dwóch powiek*

*W pokojach ciszy, na podścielonych snach
odpoczywamy
uchyleni połowie,
a czyn nasz, tak cały, że obie ręce przepelniał,
przez nasze źrenice się toczy.*

*Minuty mijają nas
i czas pełźnie w błękanie naszych oczu.*

UWAGI:



Ankieta „Europy“ Redakcja „Europy“, pragnąc dać wielostronne oświetlenie zagadnień nowoczesnej plastyki, rozesała do wybitnych artystów europejskich ankietę, złożoną z dwu pytań:

1) Jak się Pan (i) zapatruje na obecny stan sztuki nowoczesnej?

2) Jaki kierunek wysiłków i poszukiwań w sztuce nowoczesnej uważa Pan (i) za najbardziej celowy i produkcyjny?

Z nadesłanych dotychczas odpowiedzi drukujemy dwie, jedną słynnego architekta holenderskiego Theo van Doesburga, drugą polskiej pionierki modernizmu w zakresie rzeźby Katarzyny Kobro.

Rzeźba i bryła. Rzeźbiarzy nowoczesnych jest bardzo niewiele. Czy to wynika ze stanu materialnego? Czy z tego, że rzeźba obecnie zbyt bezpośrednio kształtuje architekturę, tak, że każdy architekt prawdziwie nowoczesny powinien być dobrym rzeźbiarzem nowoczesnym?

Boccioni w swych rzeźbach futurystycznych pokazał nam drogę wyzwolenia rzeźby od ciężaru bryły. Archipenko otworzył wnętrze bryły, zachowując jednak zamknięcie jej obwodu. Vantongerloo, wyczuwając konieczność harmonji wymiarów i klasycyzmu nowoczesnego, buduje rzeźbę, jako współstosunek kilku sześcianów, zamkniętych w ogólnym sześcianie obwodu.

Van Doesburg w swoich nielicznych eksperymentach malarsko-architektonicznych zapowiedział rozwiązania przestrzenne w budowie rzeźby z płaszczyzn i brył, lecz to, co zapowiedział, nie było ani malarstwem, ani rzeźbą, ani architekturą. Nasuwało to jedynie pomysły tego, co można osiągnąć. Malewicz w swoich budowach dynamiczno-przestrzennych i w swych rozważaniach teoretycznych, podnosi zagadnienie równowagi rozmieszczenia ciężarów mas w przestrzeni. Jak był prorokiem malarstwa abstrakcyjnego, tak teraz w swoich rzeźbach architektonicznych zapowiada nową erę architektury, wyrastającej z rzeźby współczesnej.

Rzeźba jest kształtowanie przestrzeni. Chcąc poznać rzeczywistą tendencję rozwoju rzeźby, należy porównywać najwyższe osiągnięcia terażniejszości. Nie należy zważać na to, co robi większość mniejszych rzeźbiarzy, lecz brać pod uwagę jedynie zdobycze tych, którzy torują drogę. Po drugie: należy stanowczo i bezpowrotnie raz na zawsze uświadomić sobie, że rzeźba nie jest ani literaturą, ani symboliką, ani indywidualną psychologiczną emocją. Rzeźba jest wyłącznie kształtowaniem formy w przestrzeni. Rzeźba zwraca się do wszystkich ludzi i przemawia do nich w sposób jednakowy. Jej mową jest forma i przestrzeń. Stąd wynika obiektywizm najekonomiczniejszego wyrazu formy. Niema kilku rozwiązań; jest jedno—najkrótsze i najwłaściwsze.

Rzeźba stanowi część przestrzeni, w jakiej się znajduje. Dlatego nie powinna być od niej odłączona. Rzeźba wchodzi w przestrzeń, a przestrzeń w nią. Przestrzenność budowy, łączność rzeźby z przestrzenią, wydobywa z rzeźby szczerą prawdę jej istnienia. Dlatego w rzeźbie nie powinny być kształty przypadkowe. Powinny być tylko te kształty, które ustosunkowują ją do przestrzeni, wiążąc się z nią. Bryła jest kłamstwem wobec istoty rzeźby. Zamyka ona rzeźbę i oddziela ją od przestrzeni; istnieje sama dla siebie i przestrzeń wewnętrzną traktuje, jako coś wręcz odmiennego, niż przestrzeń zewnętrzną. W rzeczywistości jednak przestrzeń zawsze jest jednakowa i ta sama. Obecnie bryła należy już do historii i jest piękną bajką przeszłości.

Łącząc się z przestrzenią, nowa rzeźba powinna stanowić najbardziej skondensowaną i najbardziej jednolitą część tej przestrzeni. Osiąga to, ponieważ kształty jej przez swe uzależnienie od przestrzeni tworzą rytm wymiarów i podziałów. Jedność rytmu powstaje wskutek jednolitości skali obliczeniowej.

Wobec rzeczywistości jest zewnętrznym objawieniem liczby. **K. Kobro - Strzezińska.** Sztuka nowoczesna jest sztuka modernistyczna cechuje zamęt, brak wytycznych, który doprowadza do różnorodnych i indywidualnych tendencji. Jedynie w architekturze

stwierdzić można kierunek ściśle określony we wszystkich niemal krajach, nawet w Italii i Hiszpanii, gdzie architektura idzie po linii konstrukcyjnego racjonalizmu. Motorem wysiłku jest wszędzie raczej ambicja „domowa”, niż ambicja „plastyczna”. Historia się powtarza. To, czego nie uznaje się jako „czystej sztuki”, jako obrazu lub plastyki, jest zawsze dość przyjemne dla oka, jako „afisz”, „anons”, „pull-over”, jako tkanina, dekoracja, film lub fotografia i t. d. Wszystkie te zastosowania stworzyły t. zw. w Paryżu „sztukę ludową”, która nie jest niczem innym, jak przemijającą modą.

W dziedzinie sztuki „wyzwolonej”, (mówię o malarstwie), modę tę tworzą „kunsthaendlerzy”, którzy wszystkimi możliwymi środkami (krytyką sztuki, wydawnictwami, wystawami, rynkiem i t. d.), usiłują zatrzymać wszelkie poważne ewolucje sztuki. Z powodu zaś zależności malarzy od swych handlarzy, niektórzy artyści stali się „kunsthaendlerami”, gdy niektórzy handlarze stali się malarzami — ponieważ oni właśnie narzucają malarzom kierunek artystyczny.

Stan tak opłakany i tragiczny z punktu widzenia „kultury” zniszczył wielu malarzy poprzedniego pokolenia, którzy byli kiedyś bohaterami rewolucji malarzkiej.

2) Ale poza tym merkantylizmem, w każdym kraju, nawet we Francji, żyje kilku skromnych i bezinteresownych twórców, szczerych twórców jutra. Ci nie pracują ani dla snobów, ani dla rynku, ale dla przyszłości, dla nowego świata. Mam na myśli nowe pokolenie, składające się z prawdziwych artystów, którym nie chodzi o zadziwienie zblazowanej burżuazji sztuczkami i trikami, ale którzy w swych pracowniach — laboratorjach, opierając się na współczesnej nauce, poszukują elementów i praw sztuki uniwersalnej.

Zawieram przyszłości, bo zawieram im. Po snobistycznej sztuce dzisiejszej, przez zburzenie bożków mieszczańskiego społeczeństwa: liryzmu i uczuciowości, przyjdzie sztuka poważna, sztuka elementarna, metodyczna i naukowa. I to wydać mi się najwłaściwsze i najbardziej wydajne.

Theo van Doesburg.

Dwa oblicza: „Pamflety” Nowaczyńskiego Nie jest to chyba przypadkiem, że o Leonie Daudet pisał u nas poraz pierwszy Adolf Nowaczyński. Kto zna tragiczne życie Leona Daudet, marnego powieściopisarza, lecz doskonałego krytyka, genialnego pamflicyście i dziennikarza ze wszystkich francuskich najzjadliwszego, który dla dowcipu poświęcił przyjaciela, a dla pamfletu własnego syna, ten zrozumie, dlaczego jedynym człowiekiem, o którym Nowaczyński wyraża się z nabożnem niemal poważaniem i uznaniem, jest właśnie Leon Daudet. Jeśli już mieć bóstwo, to na obraz i podobieństwo swoje.

Ale jak we Francji Leon Daudet, tak u nas Nowaczyński czeka jeszcze na swego krytyka. Obydwa są bowiem przez „opinję publiczną” okaleczeni, półciartowani, umniejszeni i poszufladowani, a więc wciąż jeszcze zapoznani i nieznanzi. Powiedziałbym prawie, że w oczach teje opinii istnieją obydwaj jakgdyby tylko do swej górnej połowy, czyli od stóp do pępka. Reszta ich istnienia jest nieznaną, lub raczej nieuznaną, otoczona konspiracją milczenia, systematycznie zabijana. Widzi się w nich tylko strony najciemniejsze, jak widziało się kiedyś w Przybyszewskim tylko alkoholiczka. Ale nie widzi się, nie chce się widzieć lub udaje się, że się nie widzi tego, co jest poza tem, ponad tem. Bo obydwaj potrafią prześcignąć samych siebie i samych siebie przewyższyć. To jest zresztą ich tragedją.

Tego rodzaju „przerostem”, przewyższeniem i przewyżczeniem jednego swego „ja” są właśnie świeżo przez firmę F. Hoesicka wydane „Pamflety” Adolfa Nowaczyńskiego, polskiego Leona Daudet. I nie o to mi chodzi, że pod względem formy artykuły te mogą służyć jako wzór najświetniejszej feljtonistyki, że pod względem języka osiągają głębie i szczyty, dla nielicznych tylko pisarzy naszych dostępne, że pod względem jasności myśli są one już nie sarmackie i słowiańskie, lecz laticyjskie i rzymskie, ale że te myśli właśnie są wzniosłe, czyste, nabrzmiałe bólem, ukapane w szlachectwie i płonące świętymi ogniami, że są to myśli o bohaterskim patosie, których wielkość przejawia zgroza, i które trzeba przyznać, przyjęc bez względu na to, czy się jest komunistą, liberałem, Żydem, przyjacielem, lub wrogiem ich autora. Ten Nowaczyński, który w związku z wypadkami lwowskimi w 1919 r. powiedział, że potępic każdy pogrom, choćby tak imponujący rozmiarami, jak pogrom lwowski, w artykule o „Niespodziance” K. H. Rostworowskiego zdobył się na najgłębsze miłosierdzie, na najszlachetniejsze zrozumienie nędzy ludzkiej. Ten sam, który autora artykułu, przypominającego w najlepszej intencji zbliżanego do setlecia Kochanowskiego, „zjechał” tylko dlatego, że jest Żydem, broni „pół-Żyda” Słowackiego przed „Białorusinem Mickiewiczem”.

tamtego swą wielkością; a czyni to w tak zarliwych słowach, że za ten jeden artykuł Nowaczyńskiego o Słowackim, oddałbym tomy Kleinerów i jeszcze **kleineren** Wołoszynowskich.

Ten sam — powiedziałem — Nowaczyński? Nie, nie ten sam, ten — drugi, ten — lepszy, ten z sercem, przez które przechodzi myśl, i ten z myślą, w której drga serce. Ten od pępka do głowy...
Artur Prędski.

Powieść o Koperniku: „Kłós Panny“ L. H. Morstina.

Carlyle powiedział kiedyś, że napisać dobrą biografię jest tak samo trudno, jak przeżyć dobrze życie. Komentując to zdanie, André Maurois, najlepszy dzisiaj teoretyk powieści biograficznej, nazywa Carlyle'a... optymistą. Według niego bowiem dobrze napisana powieść biograficzna jest jeszcze rzadziej spotykaniem zjawiskiem, niż dobrze przeżyte życie. Co do mnie, dodałbym, że w każdym razie trudniej jest napisać dobrą powieść biograficzną, niż zwykłą dobrą powieść. Powody? Bardzo proste: łatwiej jest stworzyć postać nową, fikcyjną, niż wczuć się w życie człowieka, który istniał naprawdę. W pierwszym wypadku główną rolę odgrywa niekrepowana niczem fantazja; w drugim stale i na każdym kroku kontrolowana ściśle myśl. Pozaatem: tworząc zwykłą postać powieściową — mowa tu o postaci głównej, centralnej — autor tworzy ją niejako na obraz i podobieństwo swoje; odtwarzając jednak postać autentyczną, autor musi upodobnić się do niej, dorosnąć do jej własnej wielkości, do jej indywidualnej potęgi. I biada wielkiemu pisarzowi, wielkiemu uczonemu, czy wielkiemu politykowi, jeśli dostanie się w ręce biografą, który do tej wielkości jego nie dorósł. Wtedy postać jego zmalaże, skurczy się, przestanie być sobą: będzie jedną z wielu postaci papierowych, z tą tylko różnicą, że poza nią, jak tajemnicze mane-tekel-fares, stanie potężne widmo prawdziwego bohatera, którego wielkość jest czemś konkretnym, żywym i w świadomości naszej wciąż istniejącem.

Mikołaj Kopernik w „Kłosu Panny“ Morstina, to taki właśnie zdegradowany olbrzym. Ten człowiek, który miał w sobie kosmos, który istotnie zmienił porządek świata, który ludzkość całą zepchnął na inną płaszczyznę myślenia, zmieniając jej stosunek do tego, co najdalsze i do tego, co najbliższe, ten, który w swym praludzkiem niepokoju uciekał od gwiazd do... monet, i od monet do — malarstwa, jak wykazują najnowsze badania, staje się w powieści Morstina prostoprostem trupozem, manekinem, któremu autor każe wygłaszać od czasu do czasu jakąś sentencję, albo przenosić się z jednego miejsca na drugie. Gdzie jest jednak ta droga, którą podobnie jak Tycho Brahe w powieści Broda, kroczył Kopernik do prawdy, do siebie, do Boga? Gdzie są te huragany myśli, które musiały nim miotać, i te otchłanie wątpliń, w które musiał się staczać? Gdzie jest ten mozolny, krwawy trud wdrapywania się na wierzchołki wiedzy i mądrości? Postać Kopernika w powieści Morstina nie jest tworzona na nowo, lecz aplikowana, staje się nie przyczyną owej rewolucji w poglądzie na świat, lecz, na opak, niejako jej skutkiem: do jakiejś tezy, do jakiegoś dokumentu dorabia autor akcję i człowieka. I w tem tkwi kardynalny błąd tej książki.

Jedno jednak przynajmniej należy autorowi „Kłosu Panny“: w książce jego brak zupełnie tak rozpowszechnionego w dzisiejszej naszej literaturze powieściowej bluff'u, epatowania, nabierania. Jest to oczywiście, że tak powiem, zaleta tylko negatywna, ale w czasie nieomal ogólnego szalbierstwa literackiego i to coś znaczący...
A. P.

Maksym Gorkij: Życie Klimy Samgina Powieść, przekład Karoliny Beylin. Wyd. „Płomień“.

„Klim Samgin“ jest ostatnią powieścią wielkiego pisarza rosyjskiego. Gorkij kreśli w niej obraz społeczeństwa rosyjskiego ostatnich dziesiątków lat ubiegłego stulecia. Fotograficzne niemal odtworzenie prądów umysłowych społecznych i politycznych tej epoki, spleta się w tej książce z świetną psychologią skomplikowanych dusz młodzieży rosyjskiej tego okresu. Drobiazgowy realizm i szczegółowe odtwarzanie wypadków życia, że czytelnik przenosi się naprawdę w tamte czasy i tamtą atmosferę ludzi.

W tle pierwszych drgań rewolucyjnych, literackich wpływów zachodnioeuropejskiego socjalizmu, nieustających dyskusyj i sporów między „Marksistami“ a „Ludowcami“ — sylwetka bohatera, przeciętnego i raczej niesympatycznego młodzieńca, który w życiu zmierzył się z tysiącami ludzi tamtego okresu.

„Klim Samgin“ jest książką, mogącą zainteresować tych, którym są bliskie dzieje tamtego czasu, oraz tych, którzy w obrazach psychologicznych cenią starą szkołę literacką tamtego pokolenia.

Dodatek „Nadzwyczajny“ Br. Winawera. Bruno Winawer posiada zmysł rzeczywistości, a co za tem idzie, i nowoczesności. Rozumiejąc, że chęć informowania publiczności o najnowszych zdobycach nauki i techniki w formie długich i suchych rozpraw równałaby się nowej donkiszoterji, stał się latającym reporterem, opowiadającym w stu wierszach, w których jest zawsze jedna prawda i sto raket dowcipu, to o rurce doktora Thomasa, to znów o klimacie prywatnym, czyli pogodzie na zamówienie, albo też o elektrycznym oku, które „czuwa po nocach, walczy z bandytami, ostrzega statki przed groźnemi lodowcami i widzi w najgłębszej mgle latarnie morskie”... Po słynnej już „Bocznej Antenie”, zawierającej dowcipną i przystępną interpretację teorii względności Einsteina, którą zachwycał się sam twórca tejże teorii, ukazał się ostatnio nakładem Biblioteki Groszowej nowy tom naukowej reporterki Winawera, p. t. „Dodatek Nadzwyczajny”. Niechaj ten isticie dziennikarski tytuł nie zadziwi nikogo. „Gdyby — powiada Winawer w przedmowie — Kopernik ogłosił dziś swe dzieło o obrotach ciał niebieskich, najzyczliwszy dziennikarz mógłby do suchej depeszy o tem odkryciu, dodać tylko nagłówek: „Astronomja potwierdziła teorie pijaków — ziemia się obraca!” Bo pod tym czysto dziennikarskim tytułem najnowszej książki Winawera kryje się istna kopalnia dowcipu, a przedewszystkiem — wiedzy. (p).

Maksym Bontempelli, czyli „Syn dwu Matek“. Gdy duża ludzka stała się własnością tych wszystkich powieściopisarzy, którzy mają za sobą ponad 15 lat służby literackiej, młodym nie pozostało nic innego, jak szukać duszy tam, gdzie tamci jeszcze nie sięgnęli. (Dość zaznaczyć: kto nie płakał z Ramonem Gomez de la Serna nad losem nostalgicznych gazowych latarni, napewno nie ma serca!) Maksym Bontempelli, który w pierwszej młodości był bojownikiem nowego kierunku literackiego, pewnego pięknego dnia — i na złość krytykom, zarzucającym mu brak treści i „prawdziwych” postaci — przewędrował Medjolan od końca do końca, szperając... I nic! („Vita Intensa”).

Musiał pracować 3 lata, aby wyznac tę prawdę — i spostrzegł się wkońcu, iż napisał całkiem coś innego. („Vita Operosa”).

Kilka miesięcy temu, gdy A. G. Bragaglia obwieścił światu, że wyłowił w 6-ej księdze Arystotelesa wynalazek nowego „tapis roulant” (cudownego dywanu) i baterji elektryczno-słonecznej, Bontempelli, niby serjo, ogłosił ze swej strony: O, towarzysze pierwszej chwili! Rzecz, o której mowa, jest piękna i wyszukana. Z chwilą, gdy człowiek wyrósł ponad swoje człowieczeństwo, powiadam wam: nie ma już jednej matki, ma ich dwie. Dziecko rodzi się z dwu matek.

Wówczas poważni powieściopisarze zawołali chórem: to niemożliwe!

Jakgdyby możliwe było istnienie cukierkowego realizmu, studjum charakterów stałych i dających się określić na niezmiennej płaszczyźnie — i jakby możliwy był człowiek, widziany przez powieściopisarza naratora i psychologa z przekonania.

Powieść zaczyna się w stolicy świata, w Rzymie, około pierwszej popołudniu, dnia 7 maja roku 1900. Pewne małżeństwo z pośród niezliczonych mieszczkańskich małżeństw świata, w dniu urodzin swego jedynaka, poszło go na spacer na Pincio. Tam, gdzie o zachodzie jest jeszcze gorąco, płomiennie i duszno.

Ni stąd ni zowąd, chłopiec oznajmia guwernantce, że chce wrócić do swego domu, przyczem wymienia zupełnie nieznaną ulicę. Tam, w obcym domu, rzuca się w objęcia nieznannej matki której równo 7 lat temu, w tym samym dniu, umarł chłopczyk, którego powrotu ciągle oczekiwała. Była bowiem naturą wyjątkowo egzaltowaną i złożoną.

To sytuacja początkowa.

Nudny, idyotyczny romans typu Bourget’a, Żeromskiego i Spółki międzynarodowej — tego zbiorowiska hysterji wszystkich krajów — stanął bezradny wobec tej sytuacji.

Wątek, intryga i akcja — to elementy tradycyjne; ponad tem istnieje życie nieświadome — rzut osobowości (w wiązce, czy też w promieniach pojedynczych?) na świat (który się porusza), jak chciałby dowieść autor.

Bontempelli w swoim „Synie dwu Matek” jest wielkim poetą irracjonalności. Wyczuwa nam, że w ten sposób postawił sprawę.

Czytelnik, w 90% wypadków, ma minę owego psychiatry, do którego „Syn dwu matek” siłą zaprowadził drugą matkę, tę duchową — psychiatry, i wpoił w nią poczucie rzeczywistości, wprowadzając ją z powrotem do życia.

Rzeczywistość! Jakgdyby ona naprawdę istniała!

Zrozumiała to również matka (cielesna), cierpiąca z powodu o

spazmatycznej miłości do tamtych obojga — i powoli zadawała się losom niekochanej samotnicy. Umiera ona w dniu, gdy uwierzyła w cud dwu matek.

Ale najpiękniejsze dzieje się potem!... Nie mam jednak obowiązku tego opowiadać. Niech każdy sam przeczyta!... W przeciwnym razie wszyscy mówiliby o tem bez czytania książki.

Gdyby Bontempelli nie był wydał jej własnym nakładem, założyłbym się — przez zazdrość! — że nie znalazłby na nią wydawcy.

Maksym Bontempelli — syn dwu matek!

Ettore Settanni.

Superrealiści Jak wiadomo, jednym z najnowszych prądów w literaturze i sztuce jest tak zwany superrealizm, czyli nadrealizm. Niektórzy krytycy uważają swoiste ujmowanie wrażeń artystycznych przez jego zwolenników poprostu za holdowanie snobizmowi. Sąd ten jednak jest z gruntu fałszywy. Jak każdy bowiem kierunek, tak również i superrealizm zawiera w sobie elementy najzupełniejszej szczerości w wypowiedaniu się, a więc tem samem absolutnej niezależności od tego, co o nim myślą ci lub inni.

Zrozumiałą jest jednak rzeczą, że każdy artysta jest indywidualnością odrębną, również więc i twórczość jego musi się odchyłać w mniejszym lub większym stopniu od twórczości innych artystów, choć należy wraz z nimi do tej samej grupy. Prawdziwa twórczość artystyczna nie znosi kanonów. Dyktatura jednostek w działalności artystycznej tej lub owej grupy jest niedopuszczalna.

Niedawne zebranie superrealistów francuskich, na którym narzucili właśnie swoją dyktaturę Breton i Aragon, wyłączając z grupy takich artystów, jak Artaud, Vitrac, Limbour, Soupault i Masson jest przedmiotem rozważań w ciekawym artykule o superrealistach, na łamach doskonale redagowanego pisma madryckiego „La Gaceta Literaria”. Autor artykułu, sam zwolennik superrealizmu, Sebastian Gasch, występując ostro przeciwko tego rodzaju dyktaturze, twierdzi, że silne indywidualności nie mogą zamknąć w ciasnych narzuconych ramach bogactwa własnej wyobraźni twórczej. Cóż z tego, że kubizm miał genialnego inicjatora w osobie Picasso, gdy tymczasem jego miernymi naśladowcami byli: Herbin, Gleizes, Metzinger, Severini i inni? Cóż z tego, że również genialnego inicjatora superrealizmu i jego właściwego poprzednika, Chirico, będą naśladowali jedynie: Savitry, Tanguy, Defize, Max Morise, Mesens, Pierre Roy i inni?

Naśladownictwo nie jest bynajmniej twórczością. Superrealistą prawdziwym jest Miró, gdyż indywidualność jego jest bardzo wybitna. Niewątpliwie będą o nim wszędzie i długo mówili, gdy tymczasem naśladowcy jego zgina śmiercią samobójczą, zabiciem w sobie właściwej twórczości. Zresztą, z drugiej strony, nic tak się nie sprzeciwia samej idei superrealizmu, jak pewien styl.

Do twórców superrealistycznych we właściwym tego słowa znaczeniu, poza Miró, autor artykułu zalicza René Magritte oraz Dali.

Gasch nie zapomina zwrócić uwagi, że sama tendencja lub sama teoria bez daru artystycznego nie wystarcza, aby dzieło sztuki, jako takie, miało wartość. Sam fakt należenia do danej grupy nie daje nikomu gwarancji genialności.

F. Baturewicz.

KSIĄŻKI NADESLANE.

POWIEŚĆ: André Maurois: Klimaty, przekł. W. Rogowicza. Warszawa, „Rój”, 1930, str. 237. — Salvador Gotta: Zona kochanka, przekł. J. Palmira, „Rój”, 1929, str. 226. — E. M. Remarque: Na Zachodzie bez zmian, przekł. S. Napierskiego, wyd. II. „Rój”, 1930; str. 220. — L. H. Morstin: Kłos Panny. Warszawa, 1929, F. Hoesick, str. 319.

WIERSZE: J. Sokolicz Wroczyński: Sny o Markizie. F. Hoesick, str. 84; Marja Morstin Górska: Krąg miłości. F. Hoesick, str. 58; Witold Zechenter: Ręka na sterze, F. Hoesick, 51; Poezje Artura Prędkiego. F. Hoesick, str. 35.

RÓŻNE: M. Kozłowski: Sprawa Harrimana. Głosy publiczne i dokumenty. Warszawa, 1929, str. 296. — A. Nowaczyński: Pamflety. Warszawa, F. Hoesick, 1930.

Nowaczyński: Wiosna narodów (w cichym zakątku). Komedja hist. w 4 aktach. Warszawa, F. Hoesick, str. 368.

OPRÓCZNI W N-rze 1.

1 od dołu: zamiast „tradycyjną humanitarną frazeologią”, powinno być: „humanitarnym frazesem”.

Wypisku — wiersz 2 od dołu: zamiast „Paul”, powinno być: „patrz”.

Wiersz 23 od dołu: zamiast „Fotomontaż wynalazkiem polskim” — wiersz 23 od dołu: zamiast „1923”.

„MEKO”

MEBLE KOLOROWE LAKIEROWANE SPOSOBEM AMERYKAŃSKIM

WYTWORNE — TANIE

TRWAŁE—PRAKTYCZNE

BARWA TO RADOŚĆ
I SZCZĘŚCIE W DOMU

WYGODA — CZYSTOŚĆ
PIĘKNO — NOWOCZESNOŚĆ

DUŻY WYBÓR

STOLIKÓW FOTELI SZAF BIUREK

SPFCJALNY DZIAŁ DLA SANATORJÓW I PENSJONATÓW

POKOJE DZIECIĘCE

DEKORACJA MIESZKAŃ

„MEKO” - W A R S Z A W A

UL. ŻÓRAWIA 24 a m. 3

TELEFON 149-71

